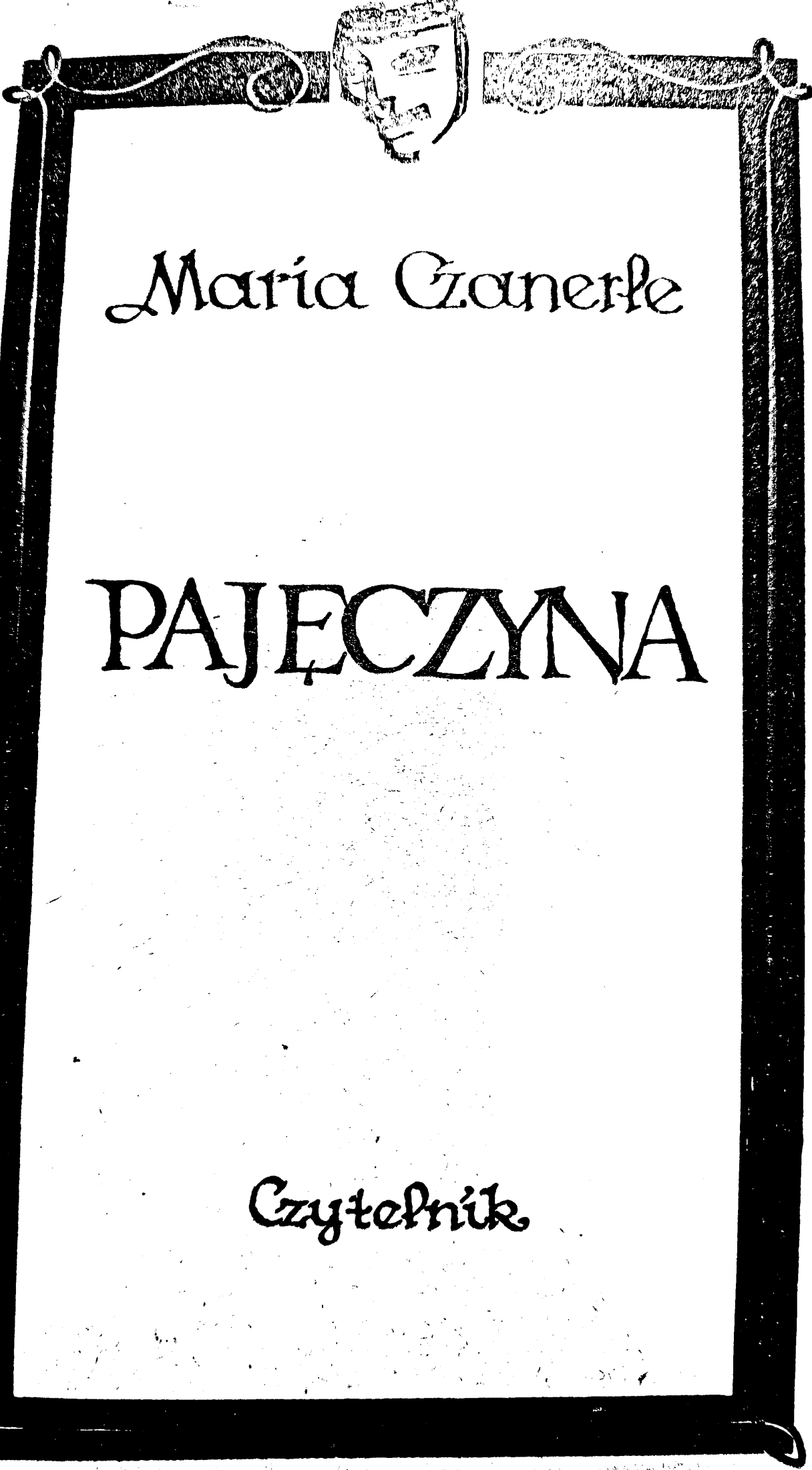




Maria Czanne

PAJECZYNA

Czytelnik

MARIA CZANERLE

PAJĘCZYNA

KOMEDIA W 4 AKTACH



1954

• CZYTELNIK •
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010556113



I 143.386

Redaktor: Matylda Wiśniewska
Redaktor techniczny: Elżbieta Polkowska
Korektor: Bożenna Maresz

S. W. „Czytelnik” Warszawa 1954 r. Wydanie I
Nakład 1176. Obj. ark. wyd. 3,25, druk. 4,5. Papier druk. mat.
82 × 104, kl. VII, 60 g. Oddano do składania 5.VI.1954 r. Podpi-
sano do druku 26.VIII.54 r. Druk ukończono w sierpniu 54 r.
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.
Zam. nr 3667/A. 5-B-51501. Cena, zł. 5,20

1954.00 9169/2

O S O B Y

ZBIGNIEW RAJSKI — naczelnik Wydziału Zdrowia Powiatowej
Rady Narodowej
MALGORZATA RAJSKA — jego żona
TERESA — ich córka, lat 19—20, studentka UW
LUDWIK OKOŃSKI — brat Rajskiej, radca prawny, lat
przeszło 40
KUKUŁKA — naczelnik wydziału w PRN
KUKUŁKOWA — jego żona
LILIANNA — ich córka
KABASIŃSKI — kierownik referatu socjalnego w PRN, czło-
nek Komisji Uzdrawiskowej
KABASIŃSKA — jego żona
RĄCZKIEWICZ — lekarz, członek Komisji Uzdrawiskowej
ŁUKASZEK — lekarz
SZCZYPIORSKA — pracownik biura skarg i zażaleń w PRN
BANAŚ — instruktor socjalny w PRZZ, członek Komisji Uzdro-
wiskowej
DRZEWIECKI — instruktor kulturalno-oświatowy w PRZZ
FRANCISZEK KUBALA — robotnik cegielni, lat około 50
JAN KUBALA — jego syn, również robotnik
ADELA — gosposia w domu Rajskich, lat przeszło 50
HARNASIOWA — żona przodownika pracy

Akcja dzieje się w jakimś powiatowym mieście.

Czas trwania: 20—30 lipca 1952 roku.

A K T I

Pokój stołowy w mieszkaniu państwa Rajskich. Urządzenie — jak u dobrze sytuowanego urzędnika przed wojną — wskazuje na to, że Rajscy mieszkają tu około trzydziestu lat. W głębi sceny drzwi wiodące na balkon.

Stół nakryty do śniadania. R a j s k a zjadła już, R a j s k i kończy, nawet denerwująca rozmowa z żoną nie wpływa na utratę doskonałego apetytu. W trakcie rozmowy usiłuje zasłonić się gazetą przed atakami żony. W chwili podniesienia kurtyny Rajska zdenerwowana chce sprzątnąć ze stołu.

RAJSKI: Widzisz przecież, że jeszcze nie zjadłem.

RAJSKA: Jeśli tak dalej pójdzie, to wiedz, że jestem zdecydowana na wszystko. Nie zniosę tajemnic we własnym domu.

RAJSKI: Nie rozumiem, o co ci chodzi. Sama powiedziałaś, że wiesz już o tych skierowaniach. Przecie nie zaprzeczyłem.

RAJSKA: Wróble na dachach już o tym mówią, a ty... łaskawie nie zaprzeczyłeś. (po chwili) Niby to nie domyślasz się, o co mi chodzi, bo wiesz, jak bardzo mi na Krynicy zależy.

RAJSKI (zdenerwowany): Nie mam na to żadnego wpływu. Do wydziału przysły trzy miejsca. Trzy miejsca na cały powiat. A tobie się wydaje, że to ja je otrzymałem na swój prywatny użytek.

RAJSKA: Nic mi się nie wydaje. Wiem... Zaraz powiesz, że skierowania przydziela Komisja Uzdrowisko-

wa, czynnik społeczny... Dobrze dla propagandy, ale mnie na to nie wozniesz. (po chwili) W zeszłym roku otrzymaliście pięć miejsc, a kto na nie pojechał? Kukułka z żoną, córką, teściową, szwagierką i... jeszcze pieska zabrali. I wszyscy otrzymali orzeczenie Komisji Uzdrawiskowej!

RAJSKI: Naczelnik Kukułka miał świadectwo lekarskie. Formalnie był więc zupełnie w porządku.

RAJSKA: Chcesz przez to powiedzieć, że ty nie byś w porządku? (z ironią) Rzeczywiście. To niebywałe przestępstwo wyjechać z żoną i z córką do uzdrowiska. Nawet w tej nowej konstytucji jest mowa o prawie do odpoczynku.

RAJSKI: Odpocząć można w jakiejkolwiek miejscowości wczasowej, niekoniecznie w sanatorium i to w dodatku w Krynicy.

RAJSKA: Do żadnej „jakiegokolwiek miejscowości wczasowej“ nie pojadę. Doskonale o tym wiesz i niepotrzebnie mnie drażnisz.

RAJSKI: To nie jedź.

RAJSKA: Raczej umrę. (po chwili) A ty, wstyd powiedzieć, zupełnie przy tej demokracji straciłeś poczucie godności osobistej i obowiązków rodzinnych.

RAJSKI: Nic nie straciłem. To ty straciłaś.

RAJSKA: Ja? Straciłam?

RAJSKI: Rozsądek.

RAJSKA: Być może, ale to nie teraz, tylko kiedy wychodziłam za ciebie. A mogłam wyjść za Korycińskiego albo... mało to mężczyzn na świecie.

RAJSKI: Dobrze już, dobrze. Słyszałem nieraz i żałuję.

RAJSKA: Żałujesz, a nie chcesz mnie zrozumieć.

RAJSKI: Żałuję, że nie wyszłaś za Korycińskiego.

RAJSKA: Żebyś wiedział. Korycińska żyje lepiej niż przed wojną, a ja, żona naczelnika Wydziału Zdrowia, nie mogę nawet przyzwolicie odpocząć.

RAJSKI: Właśnie dlatego.

RAJSKA: Nigdy nie słyszałam, żeby kto miał pretensje do kucharza o to, że nie jest głodny.

RAJSKI: Głodny? Nie dałaś mi zjeść śniadania, ale pretensjami mnie karmisz od rana.

RAJSKA (przymilnie): Bo powiedz sam, co to za od-poczynek w jakichś tam Kocidolach? Co innego Krynica... kawiarnie, dansingi, deptak, można się pokazać, nawiązać stosunki z ludźmi dobrze widzianymi. Sądzę, że to również twoją pozycję w świecie wzmocni.

RAJSKI: No to kup sobie miejsce w Orbisie tak jak Korycińscy i jedź sama.

RAJSKA: Sama? A cóż to ja nie mam męża? Co by ludzie na to powiedzieli? (po chwili, podejrzliwie) A może to ty masz ochotę tak w pojedynkę się wypuścić? Co?

RAJSKI: E, tam. Głupstwa wygadujesz. Po prostu szukam jakiejś rady.

RAJSKA: Przecież ci radzę. Pojedziemy razem: ty, ja i Teresa. Ewentualnie Ludwik. Nie pojmuję twoich skrupułów. Trzy miejsca to tak czy owak żadna cyfra na skalę powiatu. A dla naszej rodziny to w sam raz. I w dodatku masz do nich podwójne prawo — jako człowiek pracy i jako naczelnik właśnie tego wydziału.

RAJSKI: A ja ci mówię, że nie mam żadnego prawa. Absolutnie żadnego.

RAJSKA: Wiesz, co mi w tej chwili wpadło do głowy? Że to ktoś tam, na górze, w województwie, a może jeszcze wyżej... z uwagi na twoje poświęcenie i gorliwość specjalnie tak skombinował. Zapytał, jaką masz rodzinę, i posłał te trzy skierowania licząc na twoją domyślność...

RAJSKI: Nonsens. W wydziale leży kilkanaście podań zakwalifikowanych przez lekarzy. Niektórzy czekają już parę lat.

RAJSKA: Bo wysyłanie dwóch czy trzech na kilkanaście nie ma żadnego sensu. Wywoła to tylko rozgoryczenie i zawiść. A tak... każdy z nich zrozumie, że naczelnik jest od tego, żeby mieć pierwszeństwo.

RAJSKI: Naczelnik? Pierwszeństwo? Z księżycą spadła!

RAJSKA: Myślisz, że jestem nieświadoma? A komunizm wedle ciebie to co? Właśnie zaspokajanie najwyższych potrzeb najtańszym kosztem. A ty mi radzisz „przez Orbis“...

RAJSKI: O czym ty mówisz?

RAJSKA: A o czym ty czytasz? (*wskazuje na gazetę*) Proszę cię bardzo... (*czyta nagłówek*) „Troska o człowieka to nasze podstawowe zadanie“. Wychodzi, że mam rację. Nawet twoja gazeta mi przyznaje, tylko ty...

RAJSKI: Nie mogę przyznać, bo nie o mnie tam piszą.

RAJSKA: Jak to? Przecież wyraźnie napisano: „Troska o człowieka“. Co prawda człowiek to coś doskonałego, obdarzonego rozumem...

RAJSKI: Przestań... nie wytrzymam... (*chce wybiec*)

RAJSKA (*zabiega mu drogę*): Poczekaj, Zbysiuniu... Przecie nie chciałam cię obrazić. Sama już nie wiem, jakich użyć argumentów...

RAJSKI: Powiedziałem ci już, że nie ja dysponuję tymi miejscami. Od tego jest komisja... czynnik społeczny...

RAJSKA: Głupstwo. Obyśmy tylko z takimi komisjami mieli do czynienia. A tę to biorę na siebie. Łączenie z czynnikiem społecznym.

RAJSKI (*wybuch*): Kobieto! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, czym to pachnie! Do kryminału mnie wpakujesz! Nie mogę... nie mogę dłużej tego słuchać (*z rozpacz*) Żebym to ja przynajmniej był chory!

RAJSKA (*olśniona nagłą myślą*): Chory? A co? Może powiesz, że jesteś zdrowy? Że ci nic nie dolega? Popatrzyłbyś na siebie... Zresztą, nie o wygląd nawet chodzi. Można wyglądać zdrowo, a być ciężko chorym. Mój świętej pamięci dziadek nawet po śmierci miał rumieńce. I co z tego? Już wtedy lekarz mówił, że jedynym

lekarstwem na chorobę dziadka jest Krynica, ale nieboszczyk uparł się, że nie pojedzie, i co? Przejechał się biedak na tamten świat.

RAJSKI: Nie rozumiem, co ja mam wspólnego z twoim dziadkiem.

RAJSKA: Pozornie rzeczywiście niewiele. Mój dziadek był mężczyzną postawnym, o atletycznej budowie, nie taki Chaplin jak ty. Ale jeśli bliżej się wam przyrzec, tobie i jemu...

RAJSKI: Mnie i jemu? Przecież on co najmniej od trzydziestu lat nie żyje.

RAJSKA: Nie żyje, ale mógłby żyć. Tak samo jak ty mógłbyś jeszcze pożyć, ale nie wiadomo, czy pożyjesz, jeśli...

RAJSKI: Oszalałaś... Chcesz jechać do Krynicy, to jedź, ale nie rób ze mnie z tego powodu nieboszczyka.

RAJSKA: A więc tak... Przypisujesz mi zatem... Dobrze więc. Nie będę dłużej milczała. Dość długo nosiłam to w sobie... przez uczucie dla ciebie, przez kobiecą delikatność. O, Boże, spraw, żeby nie było za późno!

RAJSKI: Opamiętaj się! Co też ty wygadujesz!

RAJSKA: Wiedz zatem, że jesteś chory. Nie mogę, nie mam prawa tego dłużej przed tobą ukrywać. Dla twego dobra jestem zmuszona...

RAJSKI (przerywa): Mów już, na miłość boską!

RAJSKA: I owszem. Powiem. Czy przyjrzałeś się kiedy własnej twarzy? I co? Nic nie zauważyłeś?

RAJSKI: Nie... nic...

RAJSKA: A ja zauważyłam. Że ci się nos zaostrzył i gałki oczne pożółkły ci jak cytryny.

RAJSKI: Przestałaśbyś głupstwa gadać. Jakie znów gałki?

RAJSKA: Dokładnie pamiętam... Takie same pożółkłe oczy i zaostrzony nos, a poza tym wszelkie pozory zdrowia, czerstwa, rumiana twarz, doskonały apetyt i nagle... śmierć, zdawałoby się bez powodu.

RAJSKI: Zupełnie oszalałaś...

RAJSKA: Nie masz pojęcia, jak zdumiewająco upodabniasz się do niego. Chwilami patrzę na ciebie i ogarnia mnie przerażenie...

RAJSKI: Nie... nie wytrzymam.

RAJSKA: Niepotrzebnie się denerwujesz. Może się zresztą myłę porównując cię z nieboszczykiem. Bywa tak, że człowiek z nadmiaru troskliwości wpada w przesadę i wymyśla Bóg wie co. Onegdaj przez całą prawie noc wsłuchiwałam się w twój oddech. Mój dziadek przed samą śmiercią tak samo rzeził.

RAJSKI: Przestań... Powiedziałaś od razu, o co ci chodzi.

RAJSKA: Mnie? O nic. A właściwie to... owszem. Mam do ciebie prośbę. Niech cię doktor Rączkiewicz zbada i orzeknie, że jestem w błędzie. Będzie to dla mnie wielkim szczęściem.

RAJSKI (*wahająco*): Zawracanie głowy. Nie mam mu nic do powiedzenia.

RAJSKA: Toteż nic mu nie mów. Lekarz jest od tego, żeby sam znalazł chorobę. A doktor Rączkiewicz zna cię od przeszło dwudziestu lat. Jeżeli chcesz, mogę go uprzedzić, że przyjdiesz.

RAJSKI (*niepewny*): Najlepiej zrobisz pozostawiając mnie w spokoju.

RAJSKA: Na spokój zawsze będziesz miał czas. (*po chwili, tragicznie, z płaczem w głosie*) Nie wierzysz mi... A ja rozumiem nawet poniekąd twoje skrupuły. Tylko ty nie chcesz zrozumieć mego niepokoju, mojej troski o ciebie...

RAJSKI: Jak mam zrozumieć, kiedy mi się w głowie nie mieści...

RAJSKA (*uroczyście*): Powiedziałam ci wszystko. Postąpisz, jak zechcesz. Co do mnie — proszę i żądam tylko jednego: pójdz do doktora. Zaufaj lekarzowi, jeśli nie wierzysz własnej żonie. (*wychodząc, w drzwiach*) Nawet kolor twarzy miał mój dziadek podobny do two-

go... taki żółtawoziemisty z wypiekami. O Boże, spraw, żebym była w błędzie! (wychodzi)

Rajski zdruzgotany „diagnozą” stoi chwilę nieruchomo. Potem wyjmując z kieszeni lusterko i przygląda się własnej twarzy. Wchodzi Adela z miotłką i śmietniczką, żeby sprzątnąć po śniadaniu. Rajski spłoszony wychodzi. Po chwili wraca R a j s k a.

RAJSKA: A gdzie to Adela była do tej pory? Musiałam sama przygotować śniadanie.

ADELA: Przecież pani wczoraj mówiła, że do doktora się wybieram.

RAJSKA: Nie przypominam sobie, żeby mi Adela co mówiła. A takie sprawy osobiste trzeba załatwiać w czasie wolnym od pracy.

ADELA: A kiedy to ja mam ten czas wolny od pracy? Może mi pani wskaże.

RAJSKA: Arogancka się Adela zrobiła. (po chwili) A co Adeli doktor powiedział?

ADELA: Nic nie powiedział, bo się go nie doczekałam.

RAJSKA: To jeszcze raz Adela pójdzie?

ADELA: A co... Przecie doktor do mnie nie przyjdzie.

RAJSKA: Lepiej, żeby doktor przyszedł do Adeli, niżby Adela traciła czas na wystawanie w kolejce u doktora. (po chwili) Dziś po południu będą goście. Trzeba upiec ciasto i tort. Pranie Adela odłóż na jutro. Chyba że może się jakoś zdążyć... jak Adela myśli?

ADELA: Myślę, że jestem chora.

RAJSKA: To się Adela wieczorem, jak goście pójda, położy. Wezwiemy doktora. Adela powie, że cały dzień miała gorączkę i leżała. (po chwili, podrażniona milczeniem Adeli) Coś Adele dzisiaj ugryzło. Nie podoba się Adeli służba czy co? A przecie Adeli nikt w tym domu nie krzywdzi, choć mogłabym niejedno Adeli wyrzucić... Że stara i opieszala, dwa dni robi to, co inna by

przez dzień zrobiła... Ale nie mówię nic, bo już taka jestem... delikatna.

ADELA: A bo nie pani z wypominania nie przyjdzie. Wiadomo, że o młodszą i zdatniejszą teraz trudno. Wolą do fabryki albo do nauki. Inne czasy, nie ma głupich.

RAJSKA: Dobrze już, dobrze. Adeli dzisiaj sam biskup nie dogodzi. *(po chwili)* Jak Adela skończy ze sprzątaniami, to proszę skoczyć do doktora Rączkiewicza i oddać mu ten liścik. *(wyjmuje z kieszeni szlafroka kopertę, podaje Adeli)* I jeszcze ustnie Adela powie, że proszę go o jak najszybsze przybycie... o poradę lekarską w ciężkiej chorobie.

ADELA: Pali się czy co... Tyle czekałam, to jeszcze do wieczora wytrzymam. I po co to od razu takiego od prywatnych boleści wołać. Ja tam wolę już Łukasza z ubezpieczalni.

RAJSKA *(śmieje się)*: To Adela myślała, że do Adeli proszę doktora Rączkiewicza? *(uroczyście)* Pan nagle zachorował.

ADELA: Tylko co go tu widziałam. W lustrze się przeglądał. Pewnie się spodobać komu chce.

RAJSKA: Głupstwa Adela gada. Chorobie się przyglądał. *(chce wyjść, ale po drodze coś sobie przypomina)* Zresztą z doktorem Rączkiewiczem sama się porozumiem. A Adela niech wstąpi do państwa Kukułków i Kabasińskich, wie Adela, ten naczelnik z Rady Narodowej i ten kierownik... Kabasińscy zdaje się dostali nowe mieszkanie, pewnie w tych nowych blokach, nie pamiętam tylko ulicy... Dawniej Długa, a teraz jakieś nazwy powymyślali... nazwiska, a nie wiadomo kto... Adela poczeka... zdaje się, że jakiegoś Jarosława... Jarosława Dąbrowskiego. Nawet imię ma niepolskie. Adela powie, że uprzejmie prosimy ich na szóstą na skromne towarzyskie przyjęcie. Tylko niech się Adela długo nie grzebie, bo jak Adela załatwi z tym, to trzeba pójść do pana Kruczka po prowianty. Niech Adela już idzie. Muszę się sama też doprowadzić do porządku. *(wychodzi)*

ADELA (*siada na krześle zmęczona*): Pan nagle zachorował... po doktora na gwałt posyła i gości każe prosić...

Wchodzi Teresa w letniej sukience, wesółą, Adela ożywia się na jej widok.

TERESA: Dzień dobry, Adelu. Jak się czujesz? Boli cię jeszcze? Powinnaś się koniecznie położyć. Powiem mamie, że musisz poleżeć. (*bierze z kredensu kanapkę*) Zdaje się, że apetyt odziedziczyłam po tacie.

ADELA: Co tam o mnie gadać. Pożyję, ile Bóg zaszadził. Lepiej by Terenia jeszcze coś o sobie i o mojej Krysi powiedziała. Od tego to i zdrowia przybywa, i sił do życia.

TERESA: Co ci jeszcze opowiedzieć? Najważniejsza wiadomość dzisiejszego komunikatu brzmi: Koleżanka Teresa Rajska z kolegą Janem Kubalą wyruszają dziś o godzinie jedenastej z minutami specjalnym, pięknie przystrojonym pociągami do Warszawy na Złot Młodych Przodowników Budowniczych Polski Ludowej, gdzie spotkają się najprawdopodobniej z koleżanką Krystyną Gontarczyk.

ADELA: Terenia zawsze żartuje. Gdzie tam mojej Krysi...

TERESA: Nie znasz własnej córki, Adelu. Zobaczysz, jaki z niej będzie agronom. Dmuchnie i wyrośnie. A może przekażesz coś Krystynie?

ADELA: A niech Terenia powie, że jestem zdrowa. Sama Terenia najlepiej wie, co powiedzieć.

TERESA: Ech, Adelu, Adelu. Własną córkę okłamujesz i jak tu do ciebie mieć zaufanie. (*słychać dzwonek w przedpokoju*) Pewnie Janek Kubala. (*wybiega*)

Adela zabiera miotłę, śmietniczkę, wychodzi. Wraca Teresa z Jankiem Kubalą.

JANEK (*podniecony*): Nareszcie skończyliśmy. Nie wyobrażasz sobie, co to za robota. Milion dwieście tysięcy cegieł ponad plan. Nawet starych wzięliśmy do ga-

łopu. Taki na przykład Harnaś czy Organek zrobili przeszło dwieście procent.

TERESA: A najwięcej zrobił twój ojciec, przyznaj się. I tak będzie jutro w gazecie.

JANEK (sposepniał): Weale nie robił. Nie do roboty mu już...

TERESA: Co się stało? Wypadek?

JANEK: Nie, normalna rzecz. Choroba.

TERESA: Wspominałeś mi kiedyś. Myślałam, że to coś przejściowego.

JANEK: I my tak z początku myśleliśmy.

TERESA: Ale gadajże jakoś po ludzku. Co za choroba?

JANEK: Choroba jak choroba. Po prostu wrzód żołądka. Nic ciekawego.

TERESA: Przestań... takim tonem. Ale przecież to można leczyć.

JANEK: Można. Toteż ojciec leczy się już prawie dwa lata.

TERESA: I co? Nie pomaga?

JANEK: Nie widać, żeby pomagało.

TERESA: To może lekarz nawalił? Może na odczepnego leczy piramidonem?

JANEK: Nie, ojca leczy doktor Łukaszek. To bardzo sumienny lekarz.

TERESA: To może operacja potrzebna?

JANEK: Ojciec ma chore serce.

TERESA: Więc co? Gadasz jak fakir. Każde słowo muszę wyciągać. Przecież musi istnieć jakaś rada. Wrzód na żołądku to nie rak.

JANEK: Istnieje: wyjazd do sanatorium, do Krynicy. Doktor powiedział, że to jedyny ratunek.

TERESA: No więc? Dlaczego nie wyjeżdża?

JANEK: Bo nie może dostać skierowania.

TERESA: Kpiny urządzać czy co. Sam przed chwilą powiedziałeś, że go lekarz z ubezpieczalni wysyła, więc czego jeszcze trzeba? Zwłaszcza że twój ojciec jest przodownikiem, aktywistą.

JANEK: Toteż wszyscy go popierają.

TERESA: Słuchaj, Janek, gadaj po ludzku, dlaczego twój ojciec do tej pory nie wyjechał? Przecież jeżeli wszyscy popierają i lekarz skierowuje, to...

JANEK: Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, sam nie bardzo rozumiem, Półtora roku temu ojciec po raz pierwszy złożył podanie. Doktor Łukaszek dał świadectwo, organizacja podstawowa, rada zakładowa, komisja socjalna napisały, że gorąco popierają, a w Radzie Narodowej powiedziano nam, że oczywiście, z całą pewnością komisja rozpatrzy pozytywnie. A kiedy przyszło co do czego, to wszystkie miejsca zabrał naczelnik Kukułka z rodziną.

TERESA: Kukułka? Ten hipopotam z tą swoją małżonką koczkodanem i córeczką bożą krówką? To straszne.

JANEK: A w tym roku kazali ojcu złożyć nowe podanie, z nowymi świadectwami, zaświadczeniami, papierkami...

TERESA: No i co? Dostaliście nareszcie?

JANEK: Skierowanie? Nie. Obiecali tylko, że jak przyjdą, to komisja rozpatrzy w pierwszej kolejności.

TERESA: Słuchaj, Janek. Porozmawiam z ojcem. Mój papcio to wprowadzie trochę fajtłapa, ale pocziwy. Ręczę, że o niczym nie wie, inaczej nie dopuściłby do tego, żeby taki Kukułka...

Wchodzi Adela, ubrana jak do wyjścia. Na rękę trzyma świeżo uprasowaną koszulkę zlotową z zetempowskim krawatem. Podaje Teresie.

ADELA: Uprasowałam na drogę.

Słychać dzwonek w przepokoju, Adela szybko wychodzi.

TERESA (woła za nią): Dziękuję!

W przedpokoju słysząc podniesiony głos Rajskiej: Jeszcze Adela nie wyszła?

JANEK: Pójdę już. Zbiórka na dworcu o jedenastej.

Teresa odprowadza go do drzwi. W drzwiach spotykają się z wchodzącymi R a j s k a i R a c z k i e w i c z e m.

RAĆZKIEWICZ (zasłaniając sobą wyjście): Moje uszanowanko pannie Teresie. Padam do pięknych nóżek. Otóż to... żywe potwierdzenie zasady, że młodość to kwiat ludzkości. A panna Teresa jak zwykle uroczą... Zawsze mówiłem, że nie ma to jak Warszawa! Od razu człowieka wypoleruje, wyciosa na figurkę z paryskiego żurnalu. Patrzyć i palce lizać.

RAJSKA: Tereso, mam z panem doktorem ważną sprawę do omówienia. Może poprosisz swego gościa do gabinetu ojca.

TERESA: Z przyjemnością. I tak już idziemy.

Teresa i Janek wychodzą.

RAĆZKIEWICZ: Nadzwyczajne, słowo honoru. Co za figurka, co za linia, co za wdzięk! A dopiero co było to takie maleńkie, maciuciupieńkie, pod stołem się choowało przed doktorem. Kobietka, słowo honoru, wstydliva, malusienka kobietka...

RAJSKA (przerywa, uroczyście): Panie doktorze... Poprosiłam pana na tę rozmowę jako przyjaciela i doradcę. Zwracam się do pana o pomoc w ciężkiej chwili mego życia.

RAĆZKIEWICZ: Przeraża mnie pani dobrodziejka. Pani, okaz zdrowia, przedsiębiorczości i... kobiecości i raptem... choroba. Nie do wiary, słowo honoru.

RAJSKA: Nie ja, niestety. Mój mąż jest chory.

RAĆZKIEWICZ: Pan naczelnik? To chyba jakieś głupstewko, chwilowa niedyspozycja. Zbadamy, zapi-

szemy lekarstewko, czarodziejską miksturkę, po której jak rączką odjął. Przecie znam organizm naczelnika jak swój własny.

RAJSKA: Niestety, jestem pewna, że tym razem to sprawa znacznie poważniejsza. Jedyne nadzieje w Panu Bogu i w panu doktorze.

RĄCZKIEWICZ: Nie pojmuję, słowo honoru. Niechże pani dobrodziejka śmiało, jak na spowiedzi...

RAJSKA: Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć, panie doktorze. Obawiam się, że mój mąż odziedziczył chorobę po moim świętej pamięci dziadku. Słyszałam, że zdarzają się takie wypadki.

RĄCZKIEWICZ: Nie, to niemożliwe, nieprawdopodobne... Niechże się pani dobrodziejka uspokoi. Choroba to nie spadek, żeby ją dziedziczyć niezależnie od więzów pokrewieństwa.

RAJSKA: Wiem, że są to wypadki niezmiernie rzadkie. Jest to szczególna forma dziedziczności przez skrzyżowanie... Sądzę, że załążki tej choroby tkwiły we mnie i mój nieszczęśliwy mąż, bardziej może niż ja podatny na zarazki wskutek wyczerpania organizmu pracą ponad siły, przejął je ode mnie i nie potrafił im stawić oporu.

RĄCZKIEWICZ (zaczyna się czegoś domyślać): Dziedziczenie przez skrzyżowanie... być może... jeśli zachodzi potrzeba... To nawet bardzo interesujące i odkrywcze w pewnym sensie, co pani dobrodziejka mówi...

RAJSKA: Od dłuższego już czasu zauważyłam pewne niepokojące objawy... jak chmury na horyzoncie. Myślałam, że to chwilowa niedyspozycja, takie... atmosferyczne zakłócenie, łudziłam się...

RĄCZKIEWICZ: Ale na czym, może pani dobrodziejka spróbuje określić, na czym konkretnie polegają te... horyzontalno-atmosferyczne, tfu, chorobowe objawy.

RAJSKA: Oczy, panie doktorze, i nos. Zupełnie pożółkłe źrenice. I do tego kolor skóry taki ziemistożółty jak u nieboszczyka.

RĄCZKIEWICZ: A może naczelnik coś niestrawnego jada? Może nadmiar wódeczki, zbyt tłusta wieprzowinka?

RAJSKA: Wykluczone, panie doktorze. Mój mąż, jak niemowlę, od trzydziestu lat jada te same potrawy. I co najwyżej jeden kieliszeczek do obiadu. Zresztą, przecież pan go zna, panie doktorze, i wie pan, co to za człowiek, co to nie dla siebie, a dla bliźniego gotów duszę oddać, zwłaszcza jeśli ma dług wdzięczności...

RĄCZKIEWICZ: Wiadoma rzecz, jaki to człowiek nasz naczelnik. I gotów jestem na wszystko, żeby zasłużyć...

RAJSKA: Bardzo panu jestem wdzięczna, panie doktorze. Wiedziałam, że nie zawiedziemy się na panu. Mój dziadek, świętej pamięci, żyłby może jeszcze do dziś, gdyby posłuchał rady lekarza i wyjechał w porę do Krynicy. Jestem przekonana, że to również jedyny ratunek dla męża.

RĄCZKIEWICZ: Krynica... rzeczywiście, znakomicie leczy wszelkiego rodzaju schorzenia. Wielka szkoda, że nieboszczyk nie pojechał do Krynicy, mógłby jeszcze żyć, a nawet niewątpliwie żyłby... wedle życzenia pani dobrodziejki.

RAJSKA (zniecierpliwiona): Nie o dziadka teraz chodzi, tylko o męża. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“ — powiedział któryś z filozofów. Chodzi o to, by ustrzec mego męża przed smutnym losem dziadka, i to właśnie jest w pańskiej mocy.

RĄCZKIEWICZ: Ależ oczywiście... to się rozumie. Musimy wspólnie ratować pana naczelnika przed losem nieboszczyka. Aż strach pomyśleć, żeby z naczelnikunia taki nieboszczyczek, taki żółtawoziemisty z wypiekami... słowo honoru.

RAJSKA: Panie doktorze, mówmy do rzeczy. Jedyny ratunek dla mego męża to wyjazd do Krynicy.

RĄCZKIEWICZ: Ależ to nic trudnego, słowo honoru. Na stanowisku pana naczelnika... Wystarczy zakupić bilecik w Orbisie i już nazajutrz może naczelnikunio

tureczką ze szklanceczki popijać zuberka na zdrowie-
czko.

RAJSKA: Nie rozumiemy się, panie doktorze. Mój
mąż musi pojechać na leczenie sanatoryjne, tak jak
w ubiegłym roku... dzięki opiece lekarskiej pana dokto-
ra, wyjechał naczelnik Kukułka z rodziną. Pragnę jesz-
cze napomknąć... przypominało mi się w tej chwili...
że mój mąż rozmawiał onegdaj z doktorem Niteckim
w sprawie kierownictwa naszego szpitala. Mąż, o ile
mi wiadomo, wyrażał się o panu jako o lekarzu pełnią-
cym z poświęceniem swe społeczne obowiązki. Sądzę,
że wiadomość ta pana zainteresuje.

RĄCZKIEWICZ: Ależ oczywiście i niezmiennie...
Szczерze zobowiązany jestem panu naczelnikowi, pani
naczelnikowej i w ogóle... Proszę mną rozporządzać
i w ogóle... do usług jestem.

RAJSKA: Jak pan sądzi, panie doktorze... Czy mogą
być jakieś trudności w uzyskaniu tych miejsc w sana-
torium?

RĄCZKIEWICZ: Nie sądzę, nie, skądże... Na stano-
wisku pana naczelnika, przy takich stosunkach... przy
takim, chciałem powiedzieć, szacuneczku, biorąc przy
tym pod uwagę chorobę...

RAJSKA: Zapomina pan, doktorze, w jakich cza-
sach żyjemy. Stanowisko to obowiązki i odpowiedzial-
ność, a uprawnienia mają ci bez stanowisk i bez odpo-
wiedzialności... Mój mąż jest pełen skrupułów, czy wy-
pada mu wykorzystać dla siebie te trzy skierowania,
które przyszły dla tamtych.

RĄCZKIEWICZ: Pan naczelnik zupełnie zbytecznie...
Nadmiar skromności, że tak powiem. Ależ taką rzecz
można zupełnie legalnie i formalnie, zgodnie z literą
prawa. Co do mnie, podejmuję się przekonać naczel-
nika, że to zupełnie uczciwa sprawa, wyjątkowo
uczciwa.

RAJSKA: Nieoszacowany z pana człowiek, panie do-
ktorze. Nie wiem, jak panu wyrazić swoją wdzięcz-
ność. Chcieliśmy z mężem poprosić pana na skromny
podwieczorek dziś o godzinie szóstej. Będą naczelniko-
stwo Kukułkowie i państwo Kabasińscy...

RĄCZKIEWICZ: Z przyjemnością. Jestem do usług pani dobrodziejki i pana naczelnika.

RAJSKA: Przysięgę więc niebawem męża i powierzę go łaskawej opiece pana doktora. Proszę postępować z nim jak z chorym i kłopotliwym dzieckiem, które wzbrania się wypić lekarstwo: starać się przekonać, a w razie oporu wlać przemocą. *(śmieje się)*

RĄCZKIEWICZ: W pani dobrodziejce ludzkość straciła wielkiego lekarza. Na światową skalę. *(całuje ją w rękę)* Rączki całuję pani dobrodziejki. Uniżony służą. *(wychodzi odprowadzony przez Rajską)*

RAJSKA *(wraca, podchodzi do telefonu, nakręca numer)*: Z naczelnikiem Rajskim proszę. Tu żona. Proszę powiedzieć, że w bardzo pilnej sprawie. Służbowej, tak. *(po chwili)* Zbysio? Słuchaj, kochanie, mówiłam z doktorem Rączkiewiczem. Jest bardzo zaniepokojony objawami. Powiedział, żebyś natychmiast do niego przyszedł. Co? Posiedzenie? Bardzo ważne? Powiedz im, że twoje zdrowie to też dobro państwowe. To nic, do lekarza trzeba iść z pustym żołądkiem. Poczekamy na ciebie z obiadem. Pójdź, kochanie, zaraz, będę się za ciebie modliła. *(Kładzie słuchawkę. Przez chwilę jest sama, zachowanie jej wyraża zadowolenie z dokonanej akcji)*

T e r e s a zagląda do pokoju.

TERESA: *(wchodząc)* Wyszedł już ten cyrulik?

RAJSKA: Jak ty się wyrażasz! To bardzo porządny człowiek. Masz dziwny stosunek do ludzi.

TERESA: Do ludzi? *(deklamuje)* „Człowiek to brzmi dumnie.“ A propos... czy papcio prędko przyjdzie na obiad? Mam do niego interes.

RAJSKA: Ojciec się dziś spóźni. *(po chwili, niezdecydowanie)* Miał być u doktora.

TERESA: U doktora? Z jakiej okazji?

RAJSKA: Dziwne pytania zadajesz. Wiesz chyba, po co się chodzi do lekarza. *(po chwili)* Ojciec źle się czuje.

TERESA: Pierwszy raz słyszę. Co się papciowi stało? Pewnie się przeziębził w niedzielę. Zrobiliśmy więcej niż dziesięć kilometrów. Papcio dokazywał jak szczeniak i weinał jak słoń. Niech weźmie na noc aspirynę, to mu przejdzie. *(podchodzi do telefonu, bierze słuchawkę)*

RAJSKA *(zaniepokojona)*: Do kogo dzwonisz?

TERESA: Do papcia. Żeby natychmiast przyszedł, bo muszę z nim przed wyjazdem pogadać. A do tego konowała szkoda łązić. Zawracanie głowy.

RAJSKA *(wyrywa jej z rąk słuchawkę)*: Jak możesz... *(po chwili, opanowana)* Ojciec ma ważną konferencję i prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

TERESA *(pół żartem)*: Odkąd to mama stoi na straży obowiązków społecznych papcia? Widzę, że będzie z mamy jeszcze pociecha. *(z żartobliwym patosem)* Przechodzi mama wyraźną ewolucję światopoglądową. Z wroga klasowego, za jakiego mamę niemal uważałam, przeobraża się mama w osobę myślącą postępowymi kategoriami. Niedługo opadną z mamy resztki burżuazyjnych naleciałości, po czym w łonie naszej rodziny znikną wszelkie antagonistyczne konflikty. *(obie śmieją się)*

RAJSKA: Prawdę mówiąc, byłam zawsze socjalistką. Jeszcze jako panna w twoim wieku należałam do dobroczyнного towarzystwa i zbierałam na ofiary pierwszej wojny światowej.

TERESA: Bardzo proszę... co za ankieta! Wobec tak rewolucyjnej przeszłości spróbuję przekazać mamie pewną sprawę do powtórzenia ojcu. *(zmienia ton)* Mówię poważnie. Sprawa jest bardzo pilna i ważna. Chodzi o ojca Janka Kubali, żeby się papcio nim zainteresował. Od dwóch lat nie może dostać skierowania do Krynicy, choć jest poważnie chory. Jakaś podejrzana historia.

RAJSKA *(która początkowo słuchała obojętnie, zaintrygowana pod koniec)*: Dlaczego od razu podejrzana? W twoim wieku bardziej wierzyłam ludziom.

TERESA: To niech mama sama osądzi. Kubala, który musi się leczyć, nie dostał jednego miejsca, a pan naczelnik Kukułka pojechał z całą swoją menażerią.

RAJSKA: Naczelnik Kukułka, o ile mi wiadomo, był chory. A co do tego Kubali... trudno mi sądzić. Przypuszczalnie zabrakło miejsc.

TERESA: Zabrakło... Niechby spróbowali, żeby im teraz zabrakło. Papcio nie może do tego dopuścić, żeby znowu jakiś Kukułka, jakieś łotrostwo... Czuje, że rozszarpałabym własnymi rękami, gdyby mi taki ptaszek wpadł w ręce.

RAJSKA (*zmieszana, nerwowo*): Czy się nie spóźnisz, kochanie? Masz, zdaje się, niedługo pociąg.

TERESA: Pamiętam o pociągu. Jeszcze o Adeli chciałam z mamą porozmawiać.

RAJSKA (*przerywa*): Wiem, co powiesz. Wieczorem będzie lekarz, możesz być spokojna, zrobimy wszystko, co zaleci.

TERESA (*całuje matkę*): Nie poznaję mamy. Taka mama jakaś dzisiaj szlachetna i demokratyczna. Złudzenie czy cud? Więc nie zapomni mama? (*z lekką ironią*) Życie dwóch osób jest w ręku mamy.

RAJSKA: Dobrze już, dobrze. Powiem ojcu i dopilnuję. Możesz mu nawet nie przypominać. A propos, kochanie... wspominałaś o praktyce. Bo jeżelibyś zrezygnowała z wyjazdu na praktykę, to mogłabyś spędzić sierpień u ciotki Klementyny. Zapomniałam ci powiedzieć... Pisała jeszcze przed twoim przyjazdem i gorąco cię zapraszała.

TERESA: A mama z papciem pewnie też się gdzieś wybierze? Papcio zdaje się ma w sierpniu urlop?

RAJSKA: Nic jeszcze nie wiadomo... Wiesz, jaki ojciec zapracowany, nawet słyszeć nie chce o odpoczynku. Dlatego tak cię namawiam na ten wyjazd do ciotki. Zawsze co wieś, to nie miasto...

TERESA (*przerywa*): Niech się już mama o mnie nie troszczy. Z praktyki nie zrezygnowałam i pewnie pojedę wprost z Warszawy. Żałuję tylko, że papcia nie

widziałam. Niech go mama uściska i powie... zresztą — napiszę do niego.

Żegna się z matką, Rajska całuje ją niby wzruszona, odprowadza do drzwi, wraca, stoi chwilę głęboko zamysłona, skonsternowana.

RAJSKA (po chwili, jak gdyby kontynuując rozmowę z córką, wzburzona): Co? I ja miałabym nie pojechać do Krynicy? Wybacz, moja droga, ale takiej rewolucji jeszcze u nas nie było! (wychodzi).

K U R T Y N A

A K T II

Ten sam pokój, co w akcie pierwszym. Stół nakryty na przyjęcie gości. *R a j s k a* uroczyście wystrojona robi jeszcze drobne „korekty“ na stole.

RAJSKA: Adelu! (cisza) Adelu!

A d e l a wchodzi, widać, że jest zmęczona.

RAJSKA: Dwadzieścia razy Adele trzeba wołać. A wie Adela przecież, jaki dzisiaj dzień, że trudno ze wszystkim nadążyć.

ADELA: Co mam nie wiedzieć. Przecie nie pani trudno, a mnie.

RAJSKA: Powiedziałam Adeli już z rana, że każdy pracuje wedle kwalifikacji. Była Adela w PZGS-ie?

ADELA: A co miałam nie być.

RAJSKA: I co? Mówiła Adela z panem Kruczkim? I dał Adeli wszystko?

ADELA: Dać to dał, ale się dziwił, że tak dużo na raz. Mówił, że to przydział na dziesięć kartek.

RAJSKA (wściekła): Nie Adeli sprawa.

ADELA: Pewnie, że nie moja. Ja bym w takie świństwa nie laźła.

RAJSKA (po chwili): Zniosła Adela Kabasińskim?

ADELA: Zniosłam, jak pani kazała.

RAJSKA: I co oni na to? Ucieszyli się?

ADELA: A co się nie miała cieszyć. Na ulicy tego nie znajdzie. Totyż latała ino i piszczała jak poparzona. Ze dwadzieścia pięć razy kazała się kłaniać i dziękować.

RAJSKA: A on co na to?

ADELA: A jego w domu nie było. Mówiła, że mąż będzie bardzo kontenty, że państwo naczelnikostwo tacy na nich łaskawi.

RAJSKA: Może Adela odejść. *(po chwili)* Och, byłabym zapomniała. A co z tą żółtą bibułą, co ją Adela miała kupić?

ADELA: A co ma być. Kupiłam. *(wyjmuje z kieszeni ukrytej w fałdach fartucha rulonik żółtej bibuły, podaje Rajskiej)*

RAJSKA: Niech Adela szybko przyniesie drabinę, upniemy ją pod abażurem. Pana razi światło.

ADELA: To jakaś nowa moda. Nasz pan gorsze rzeczy znosi niż abażury i wcale nie widać, żeby go raziło. *(wychodzi)*

RAJSKA: Zbysio!

Wchodzi R a j s k i.

RAJSKA: Jak się czujesz, kochanie? Pokaż się, jak wyglądasz. Doskonale... Fatalnie, chciałam powiedzieć. Taki żółty, bezkrwisty jesteś.

RAJSKI: Od rana morzysz mnie głodem. Powiedziałaś, że poczekacie z obiadem. Takimi metodami możecie mnie rzeczywiście niedługo na tamten świat wyprawić. *(patrzy zachłannie na stół, chce porwać kanapkę)*

RAJSKA *(odbiera mu kanapkę)*: Nie wolno. Pamiętaj, mój drogi, że nie wolno ci teraz nic wziąć do ust, bo kiedy się najesz, robisz się taki podejrzanie czerwony, jak gdybyś za chwilę miał krwotoku dostać. A najgorsze, że nabierasz takiego pozornie zdrowego wyglądu. Wiesz, kochanie, podejmowanie gości to jednak rzecz męcząca. Lepiej, jeżeli zostaniesz na razie w swoim pokoju. Powiem gościom, że źle się czujesz.

Wraca A d e l a z drabiną i opiera ją o ścianę, zmęczona.

RAJSKA: Adela postawi drabinę w tym miejscu.

Adela stawia drabinę przy bocznej lampie nad kozetką i siada. Rajski korzystając z nieuwagi żony porzywa ze stołu parę kanapek i wymyka się dyskretnie.

RAJSKA: Dobrze już, dobrze. Spróbuję sama to upiąć. Adela toby się godzinę grzebała, a tu mogą w każdej chwili zadzwonić. (wchodzi na drabinę niepewnie, wznosząc bojaźliwe okrzyki) Jezus, Maria... Na co mi to przez Adelę przyszło. Widzi Adela, że ja nie z tych, co tylko mówią o demokracji. Jak trzeba, to potrafię i fizycznie popracować. To żadna sztuka. Och, tracę równowagę... Niech Adela mocniej potrzyma drabinę, bo jak rozedrę suknię, to uprzedzam, że potracę Adeli z pensji.

ADELA: A niech mi pani nie grozi, bo ze strachu puszcze drabinę.

RAJSKA (upina): O-o-och, w głowie mi się kręci, zupełnie jak nad przepaścią. Jeżeli spadnę i zabiję się...

ADELA: To potraci mi pani z pensji.

RAJSKA (upięła w końcu): Och, myślałam, że to już koniec świata. Bo żeby żonę człowieka na odpowiedzialnym stanowisku zmuszać do pięcia się po drabinach!

ADELA: Każdy się drapie, po czym go stać.

Dzwonek w przedpokoju, Rajska schodzi szybko, nieudolnie.

RAJSKA: Adela zabierze drabinę i otworzy. To pewnie mój brat, magister Okoński. Miał przyjść trochę wcześniej.

Adela wynosi drabinę. Rajska poprawia suknię, fryzurę. Wchodzi L u d w i k.

LUDWIK: Ucałowanie rączek mojej niezwykle przedsiębiorczej siostrzyczce. Wprawiałaś mnie dzisiaj w zachwyt, jak babcię kocham. Co za pomysłowość!

RAJSKA (przerywa): Słuchaj, mój drogi. Nie mamy ani chwili do stracenia. Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego. Kukułka, rozumiesz, będzie skrepowany, bo Zbyszek dopomógł mu w zeszłym roku faktycznie, choć nicoficjalnie, z tym wyjazdem. Ale ta jego jędrza robi wszystko, żeby nam zaszkodzić.

LUDWIK: Trzeba mieć ministerialną głowę, żeby się zorientować w tej zawilej dyplomacji! A ja jestem tylko skromnym doradcą prawnym pewnej niezbyt skromnej instytucji.

RAJSKA: Przestań, nie pora na błazeństwa. Wiesz, jak na ciebie patrzy Kukułkowa. Nie chcę cię namawiać, choć faktycznie byłaby to niezła partia. Kukułka ma stanowisko i pozycję w mieście, mają własny dom, no i panna dosyć przystojna. Nie będziesz przecież dożywno kawalerem. Zresztą, jak uważasz. Sądzę jednak, że gdybyś niezależnie od twoich w tym kierunku zamiarów poczynił im pewne nadzieje...

LUDWIK (przerywa, śmieje się): Podziwiam cię, niezależnie od tego, że robisz zamach na moją wolność osobistą. A ta Lilianna, masz rację, niczego sobie, pulchniutka, apetyczna, taki świeżo upieczony pączuszek.

RAJSKA (przerywa): Potem... oświadczysz to jej osobiście. Chcę ci tylko powiedzieć, że od twego zachowania zależy bardzo wiele. I jeszcze jedno... nie zdziw się, że zaprosiłam Kabasińskich. Bądź dla nich uprzejmy.

LUDWIK: Jakich znów Kabasińskich? Poczekaj, coś sobie przypominam...

RAJSKA: Tego referenta socjalnego z Rady Narodowej. Jest członkiem Komisji Uzdrowiskowej i podwładnym Kukułki.

LUDWIK (śmieje się): Kapitalna zabawa, jak bożę kocham. Tylko czy ta zręcznie utkana pajęczyna nie ma zbyt wyraźnych nici?

RAJSKA (sentencjonalnie): Pająk, który przedzie na suficie, nie myśli o miotle, inaczej musiałby prowadzić żywot karalucha. Zresztą, mało to ludzi jedzie do Krynicy?

Słychać dzwonek z przedpokoju.

RAJSKA: Więc, Ludwiczku, pamiętaj, że Kukułkowa dla swego przyszłego zięcia zrobi wszystko. (w drodze do przedpokoju) Może wejdiesz na razie do Zbyszka. Porozmawiaj z nim. Ale wiesz... jak z ciężko chorym, delikatnie...

LUDWIK: Kobieto! I ty zachęcasz mnie do małżeństwa! (wychodzi drzwiami do sypialni)

Scena przez chwilę pusta. Słychać głosy z przedpokoju. Wchodzi K a b a s i ń s k a, R a j s k a, K a b a s i ń s k i.

KABASIŃSKA: Chcieliśmy z mężem serdecznie podziękować państwu naczelnikostwu za zaszczyt, jaki nas spotkał. Nie wiemy, rzeczywiście, czym mąż zasłużył na tyle łaski...

KABASIŃSKI: I ja również pozwolę sobie wyrazić swoje głębokie uszanowanie...

RAJSKA: Głupstwo. Nie ma o czym mówić. Dostaliśmy po prostu od znajomych z zagranicy trochę różności. Takie teraz czasy, że musimy sobie wzajemnie pomagać. Bardzo proszę, niech się państwo czują jak u siebie. Mąż, niestety, jest chory. Prosił, żeby go przed gośćmi wytłumaczyć. (dzwonek w przedpokoju) Na chwilę państwa przeproszę. To pewnie naczelnikostwo Kukułkowie. (wychodzi)

KABASIŃSKA: Jak mogłeś tak zwyczajnie powiedzieć „moje uszanowanie“. Tak się mówi z równymi sobie. Prezenty ci posyła, z naczelnikami jak równego zaprasza, a ty... „moje uszanowanie“. Wyrazy najgłębszej wdzięczności się w takich wypadkach składa, swoje najserdeczniejsze podziękowanie się wyraża, dożywotnie zobowiązania się przyjmuje, a nie... „uszanowanie“. Tacy to mają gdzieś twoje „uszanowanie“.

KABASIŃSKI: Przestań... Wiesz, że łapówek nie biorę, a skąd mogę wiedzieć, czy to nie łapówka? Swoją drogą to trochę dziwne... te upominki ni z tego, ni z owego... i te zaprosiny tak na równi z Kukułką... Wiesz, co

o tym myśle? Że albo nasz los wygrał na loterii i oni dowiedzieli się o tym przed nami, albo zanoszą się na jakiś gruby awans.

KABASINSKA: Albo te „różności“, które dostała z zagranicy. Ona myśli, że nie wiadomo, skąd tacy biorą takie prowianty. Masz rację, że to dziwne... Mąż chory, a ta przyjęcia urządza. Musi, naprawdę, że zostaniesz jakąś grubą rybą, kiedy tak koło nas skaczą.

Wchodzą: K u k u ł k o w a, R a j s k a, L i l i a n n a i K u k u ł k a. Kabasińscy zrywają się i stają w postawie pełnej uniżonego szacunku. Kukułkowie, zaskoczeni ich obecnością, witają się z wyraźnym przy-musem, wzgardliwie.

KUKUŁKOWA: Od kilku godzin głowimy się z mężem, z jakiej to okazji proszą nas do siebie Rajscy. Mąż tak był zaintrygowany, że nawet do biura nie wrócił po obiedzie. Mówił, że na pewno naczelnik Rajski dostał awans. Dawno mu się to należało.

KUKUŁKA: I właśnie z tego powodu chcieliśmy złożyć serdeczne gratulacje. Ze szczerego serca.

RAJSKA: Niestety... chciałam powiedzieć, że niezupełnie państwo odgadli. Mój mąż nie uznaje zaszczytów. Można o nim powiedzieć słowami jakiegoś poety: „On nie z roli ani z soli, tylko z tego, co go boli“. Właśnie z powodu choroby mój mąż nie będzie mógł pełnić funkcji gospodarza, za co najuprzejmiej państwa przeprasza. (do Lilianny) Jak to dobrze, że panna Lilusia również przyszła. (woła) Ludwiczku!

W drzwiach z sypialni zjawia się L u d w i k.

RAJSKA: Pytałeś o pannę Lilusie, oto jest. (dzwonek w przedpokoju) Państwo wybaczą. (do Ludwika) Zabaw gości, proszę cię. (wychodzi)

LUDWIK: Z rozkoszą wykonam rozkaz siostrzyczki, zwłaszcza w stosunku do tak uroczych pań, z których jedna to rozkwitła róża, druga... nieopierzony pączuszek. (wita się ze wszystkimi. Kabasińskich, stojących na

uboczu wciąż w tej samej, pełnej uniżoności postawie, traktuje z protekcyjną poufałością)

KUKUŁKOWA: Pan magister nas zawstydza. W dzisiejszych czasach kobieta ma tak mało okazji do rumienienia się.

LUDWIK: Na czerwonym tle przestało działać prawo kontrastu.

KUKUŁKA: Nie lubię, panie, kiedy się mówi o dzisiejszych czasach. Dzisiejszy dzień to lichy mosteczek między tym, co było wczoraj, a tym, co będzie jutro. Byle jakoś utrzymać równowagę, byle przejść. Trzeba wierzyć, panie, w siłę narodu, który przetrwał już niejedną burzę.

KUKUŁKOWA: Radzę panu, panie magistrze, udać się z Lilusią na balkon. Mój mążonek zanudzi was tą polityką.

LUDWIK: Z przyjemnością, jako że mając do wyboru politykę i romantykę, zawsze wolę to drugie. *(podaje ramię Liliannie, wychodzą na balkon)*

KUKUŁKOWA *(do męża)*: I co ty na to? Uroczy człowiek. Zastanawiam się, czy Rajska nie urządziła tego wszystkiego specjalnie... Słyszałeś, co powiedziała do Lilusi? Ale po co w takim razie prosili tych... urzędników?

KUKUŁKA: Czuję, że mi ciężar spadł z serca. Nie dostał awansu.

KUKUŁKOWA: A wiesz, co mi wpadło do głowy? Że to właśnie ty dostałeś awans i oni to wywachali. Wiesz, jaka z niej chytra małpa. Skombinowali naprędce, że warto by się z nami skoligacić, dopóki nie jesteśmy zorientowani w sytuacji. Lisica...

KUKUŁKA: Ciekawe, nie pomyślałem o tym. To nawet prawdopodobne... Bo z jakiej racji taki fajtlapa Rajski miałby dostać awans, a nie ja na ten przykład... To jest myśl... masz rację, żonusi.

Wchodzą Rajska i Rączkiewicz.

RĄCZKIEWICZ: Moje uszanowanie państwu, całuję rączki pani naczelnikowej.

RAJSKA: Pan doktor pozwoli... pan kierownik Kabasiński z małżonką.

RĄCZKIEWICZ: Przyjemnie poznać. (do Kabasińskiego) A z panem to się znamy, starzy znajomi z komisji, a jakże...

KUKUŁKA: Może nas doktor pocieszy. Zostaliśmy zaniepokojeni wiadomością o nagłej chorobie kolegi Rajskiego.

KUKUŁKOWA: Żywimy nadzieję, że to nic groźnego...

KABASIŃSKA: I my również żywimy nadzieję.

RĄCZKIEWICZ: Nie chciałbym państwu psuć nastroju, a poza tym obawiam się nieostrożnej, względnie przedwczesnej diagnozy. Istnieją jednak pewne niepokojące symptomy, które wskazywałyby na utajony proces choroby, wymagającej natychmiastowej ingerencji ze strony medycyny.

KUKUŁKA: A ja wam powiadam, że to wszystko lipa, jak mówią w Warszawie. Nie dalej jak wczoraj siedzieliśmy z kolegą Rajskim w bufecie. Wyglądał jak pomidor w sezonie, kwitnący i przy apetycie. Proponuję wypić za pomyłkę kochanego i zapobiegliwego doktora.

RAJSKA: Pan naczelnik nie wierzy w chorobę mego męża, a w zeszłym roku to własne zdrowie ratował... wszelkimi sposobami.

KUKUŁKOWA (znacząco spojrzawszy na męża): Mąż lubi pożartować, przecież go pani zna z tej strony, pani Małgorzato. Ja natomiast od razu poczułam, wchodząc do tego domu, że stało się coś złego.

KUKUŁKA: Wobec powyższego wypijemy za zdrowie chorego.

Wszyscy piją, potem siadają przy stole.

RAJSKA: Chciałam państwu opowiedzieć sen, jaki przyśnił mi się trzy dni temu. Idę sobie taką niezbyt

wąską i niezbyt szeroką uliczką, a tu nagle patrząc... stoi koń. Stoi taki wielki, biały w czarne plamy, zaprzężony do karety, chce ruszyć, a kareta zaryła się w piach i ani rusz. To wtedy temu koniowi pot wystąpił na łeb, a te czarne łaty zaczęły się gwałtownie powiększać, aż się cały koń zrobił czarny. Od razu wtedy poczułam, że ten koń to pewnie mój mąż.

KUKUŁKOWA: To straszny sen i wróży z całą pewnością nieszczęście.

KABASIŃSKA: Pani naczelnikowa wybaczy, ale koń oznaczał zawsze podróż. Chyba że coś się pod tym względem także zmieniło. Koń chciał pociągnąć karete, to znaczy, że pana naczelnika oczekuje podróż z rodziną.

RĄCZKIEWICZ: Świetnie to pani wytłumaczyła, słowo honoru. Naczelnikowi nieodzowny jest wyjazd do Krynicy, rozumie się do sanatorium, a nie byle gdzie. Sanatorium i kareta... rodzina... chciałem powiedzieć: co najmniej dwie osoby do dyżuru na zmianę przy chorym, a wtedy czarne plamki znikną i pozostanie konik bielusieńki jak złoto...

Kukułka z Kukułkową wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

KUKUŁKA: Skoro doktoruńcio orzekł, że potrzebna jest Krynica, to musi być Krynica. Kto mówi inaczej, nie zna naszych ustaw. Mam rację, panie Kabasiński, czy nie mam racji?

KABASIŃSKI: Pan naczelnik nie może nie mieć racji... Tylko że osobiście, proszę o wybaczenie... nie orientuję się, jak praktycznie uskutecznić zalecenie pana naczelnika.

KUKUŁKA: To głupstwo, panie. Grunt to zasada: ma czy nie ma prawa się leczyć. Tak samo jakbym zapytał, czy dyrektor fabryki obuwia ma prawo nosić buty. Co pan na to, panie Kabasiński?

KABASIŃSKI: Bezwarunkowo... śmiem twierdzić, że ma...

KUKUŁKA: Zawsze mówiłem, że z pana rozsądny człowiek, panie Kabasiński. Rozsądny i skrupulatny, nawet, powiedziałbym... nazbyt skrupulatny.

RAJSKA: Jestem szczerze wzruszona, że państwo tak serdecznie i przyjaźnie odnieśli się do choroby mego męża. (woła) Ludwiczku!

Wchodzi Ludwik z Lilianną.

RAJSKA: Zbliź się, lobuzie! My tu o zdrowiu twego szwagra radzimy, a ty...

LUDWIK: Badaliśmy z panną Lilianną konstelację ciał niebieskich. (siada z Lilianną przy stole)

RAJSKA: Wiesz, Ludwiczku, przed chwilą mówił nasz doktor, że ze Zbyszkciem powinny jechać co najmniej dwie osoby jako eskorta i dyżur. Zdaję sobie sprawę, jakiego to wymaga poświęcenia...

LUDWIK (zajęty jedzeniem i Lilianną): Do mnie pijesz? Ależ oczywiście... Zakochani są skłonni do poświęceń. Czemu nie... można pojechać.

KUKUŁKOWA: A kiedyż to państwo zamierzają wyjechać? Wpadło mi w tej chwili do głowy, czy nie można by jakoś razem...

RAJSKA (zaniepokojona): Sądzę, że to będzie niemożliwe ze względu na znikomą ilość miejsc, którymi dysponuje nasz wydział.

KABASIŃSKI (ocknął się): Przepraszam... czy mowa o skierowaniach na sanatoryjne leczenie? Bo jeśli dobrze zrozumiałem...

KUKUŁKOWA: Właśnie o tych. Może wiadome są panu szczegóły co do ilości przyznanych miejsc?

KABASIŃSKI: I owszem... Trzy miejsca. To mniej niż w ubiegłym roku. To bardzo mało, jeśli wziąć pod uwagę, że mamy kilkanaście podań zakwalifikowanych przez komisję...

KUKUŁKOWA: W takiej sytuacji, rzeczywiście, będziemy zmuszeni zrezygnować na rzecz naczelnikostwa.

KABASIŃSKI: Przepraszam, że po raz drugi śmiem wtrącić... Ale tam czekają ludzie chorzy, którym obiecano w pierwszej kolejności. Bo, jak państwu wiadomo, w ubiegłym roku odpadły nam wszystkie miejsca.

KUKUŁKA: Jak to odpadły... Nie uważa pan chyba, że mój wyjazd z rodziną nie był równie umotywowany jak tamte, o których pan zupełnie słusznie przypominają. A co do kolegi Rajskiego, to wina naszego doktoruńcia, że nie poinformował nas dokładnie, co za choroba, jak się nazywa i temu podobne.

RĄCZKIEWICZ: Nie zrobiłem tego w pewnym sensie z rozmysłu, by nie psuć państwu nastroju i w ogóle. Ale skoro zachodzi potrzeba... to i owszem... Hepatitis parenchimatosa połączone z cholecystitis icterus. Jest to połączenie rzadkie i wyjątkowo niebezpieczne... morbus periculosus.

LUDWIK (*podchmielony, wstaje, deklamuje*): Aurea prima sata est aetasque vindice nullo, sponte sua sine lege fidem rectumque collebat...

KABASIŃSKA: Jezus Maria, jakie to straszne choroby muszą być, o których pan doktor i pan magister się wyrażali...

LILIANNA: Zwłaszcza pan magister. Nawet zapamiętać trudno.

KUKUŁKOWA: Mój mąż miał jeszcze gorszą, zapomniałam tylko, jak się nazywała.

LUDWIK: Morbus incognitus periculosus perditus.

KUKUŁKOWA: O, tak właśnie... przypomniałam sobie... incognitus perditus.

LILIANNA: Oj, co mamuńcia wygaduje! Tatuncia choroba wcale się nie nazywała. Mamuńcia to lubi takie wszystko zagraniczne.

Chwila konsternacji. Kukułkowie gromią córkę wzrokiem, Ludwik napętnia jej kieliszek, Lilianna wypija.

KABASIŃSKI: Śmiem przypomnieć, że również obywatel przewodniczący Dąbek, o ile mi wiadomo, raczej interesować się sprawami właściwego podziału sanatoryjnych i czasowych miejsc.

KUKUŁKA: Wszyscy interesujemy się tą sprawą, panie Kabasiński. Chodzi nam wszystkim o to samo,

żeby skierowania dostały się we właściwe ręce. Czy nie tak? Niechże pan sam powie, skoro pan z panem przewodniczącym tu wyjechał.

KABASIŃSKI: Niby tak... we właściwe ręce.

KUKUŁKOWA: Ten Dąbek to taki grubianin, nigdy bym za takiego nie wydała Lilusi.

RAJSKA: To wcale rozsądny człowiek i zawsze popierał mojego męża.

KABASIŃSKI: Pozwolę sobie jeszcze uzupełnić swoje poprzednie oświadczenie. Kiedy zostałem członkiem Komisji Uzdrawiskowej, poprzednio zaś, jak państwu wiadomo, od roku 1937 pracowałem w sądzie powiatowym, wezwał mnie do siebie pan przewodniczący i oświadczył mi, co następuje: „Panie Kabasiński, uważam pana za porządnego człowieka...” Tak powiedział... „za porządnego człowieka”. „Chodzi tylko o to, żeby pan nie ulegał obcym wpływom i postępował zawsze wedle własnego sumienia i wskazań partii”. Tak mi powiedział...

KUKUŁKA: Jak gdyby mi z ust wyjął. A co, czy my nie w zgodzie z własnym sumieniem staramy się tu pomóc koledze Rajskiemu? Uratować życie człowieka pracy, że tak powiem, pożytecznego członka społeczeństwa. Sprawa najzupełniej czysta, partyjna, można powiedzieć.

RAJSKA: Przecie łapówki nikt z państwa nie wziął. (do Kabasińskiego) No, niechże pan powie, wziął pan za to łapówkę?

KABASIŃSKI (jąka się, zmieszany): Nie brałem... nie mogę osądzić.

RAJSKA: Podejrzliwy z pana człowiek, panie kierowniku. Przychodzimy do pana ze szczerym sercem, a pan nas jadem nieufności...

KABASIŃSKA: Mąż nie zamierzał... Przepraszam pana naczelnika i panią naczelnikową. Taką już ma naturę, że własną żonę podejrzewa nieraz nie wiadomo o co.

KABASIŃSKI: Pozwolę sobie jeszcze tylko zaznaczyć, że w tej sprawie, to jest w sprawie podziału skie-

rowań, głos w pewnej mierze zasadniczy ma czynnik społeczny, to jest towarzysz Banaś z Powiatowej Rady Związków Zawodowych.

KUKUŁKA: Wiemy o tym, panie Kabasiński, no i co z tego? Sądzę, że potrafi pan przekonać t o w a r z y s z a Banasia co do wyjazdu naczelnika Rajskiego. Stan zdrowia, stanowisko, użyteczność społeczna... to argumenty dość zasadnicze.

KABASIŃSKI: Jeżeli o mnie chodzi... nie jestem pewny...

RAJSKA: Tyle się pisze o tej trosce o człowieka. A człowiek potrzebujący pomocy zamiast troski napotyka na bezduszną owiniętą w jakieś niezrozumiałe skrupuły.

KUKUŁKA: Tylko nie bezdusność, pani Małgorzata. Nie znoszę biurokratyzmu, tam gdzie chodzi o człowieka. Niedawno zwolniłem z pracy urzędnika właśnie za tego typu stosunek do ludzkich spraw. Słyszał pan zapewne, panie Kabasiński?

KABASIŃSKI (ze strachem): Słyszałem... tylko, śmiem zaznaczyć, nieco inaczej. Co do mnie... proszę wybaczyć... ośmieliłem się zapytać w trosce o tamtych chorych, którzy czekają...

KUKUŁKA: Cóż... Nie jest naszą winą, panie kolego, że nasz powiat otrzymuje tak znikomą ilość miejsc. Musimy kierować się jakąś hierarchią potrzeb. (po chwili) Słyszałem, że dostał pan mieszkanie, panie Kabasiński.

KABASIŃSKI: Dostałem... śmiem potwierdzić.

KUKUŁKA: Mówiłem o tym kilkakrotnie z naczelnikiem Arbasińskim. I co, zadowolony pan?

KABASIŃSKI (wstaje, w ukłonie, trącony przez żonę usiłuje przypomnieć sobie jej instrukcję): Wyrazy najgłębszej wdzięczności... wyrażam, najserdeczniejsze podziękowanie... składam, dożywotnie zobowiązania przyjmuję. Śmiem oświadczyć, że jestem zadowolony.

KABASIŃSKA: Mąż zdaje sobie sprawę, ile winien jest panu naczelnikowi. A za mieszkanie jesteśmy bardzo wdzięczni.

KUKUŁKA: To dobrze... A co do pana, panie Kabasiński, to istotnie, za długo widocznie siedzi już pan w tych sprawach, skoro pamięta pan rzeczy sprzed paru lat. To moja wina, że nie pomyślałem wcześniej o jakimś awansie dla pana.

KABASIŃSKI (*wstaje, w ukłonie*): Dziękuję panu naczelnikowi, postaram się ze wszystkich sił... (*na znak żony*) Wyrazy dożywotniej wdzięczności składam, najgłębsze zobowiązania wyrażam...

KABASIŃSKA (*przerywa*): Mąż nie potrafi o sobie powiedzieć ze skromności, ale on sobie na ten awans zasłuży. A z panem Banasiem mąż jest w dobrych stosunkach i na pewno załatwi.

KUKUŁKA: Nie wymagamy tu od kolegi Kabasińskiego niczego, co by wykraczało poza właściwie pojęty obowiązek służbowy.

LUDWIK (*wznosi kielich*): Za zdrowie Kabasińskich, oby nam długie lata żyli na własną chwałę i pożytek... społeczeństwa!

Wszyscy piją. W drzwiach sypialni ukazuje się R a j s k i. Wszyscy zrywają się, witają.

KABASIŃSKA: Och! Pan naczelnik we własnej osobie!

KUKUŁKOWA: Od razu widać, że chory, tak jakoś w oczach zmieniony.

KABASIŃSKI: Bardzo przepraszam... zostaliśmy zaproszeni w celu złożenia uszanowania panu naczelnikowi z okazji... jego choroby.

RAJSKA (*prowadzi męża z dala od stołu i sadza go na kozetce pod żółtym abażurem*): Usiądź, kochanie... Państwo wybaczą, mężowi nie wolno się męczyć.

LUDWIK (*śpiewa*): Siadaj, stary, nie kręć gitary, bum tara, bum tara bum...

KUKUŁKOWA: Popatrzcie, państwo, jaki żółty, zupełnie jak nieboszczyk.

RAJSKA: Mój świętej pamięci dziadek, który umarł na tę samą chorobę, miał identyczną karnację twarzy. I to mnie właśnie najbardziej niepokoi.

LUDWIK: Ubóstwiam żółty kolor. (do Lilianny) Pani byłoby w takim abażurze bardzo do twarzy.

LILIANNA: Mamuńciu, to nie żółtaczka, to takie żółte światło pada z abażuru!

KUKUŁKOWA: Zawsze musisz coś ni w pięć, ni w dziesięć. Co pomyśli o tobie pan magister?

LUDWIK: O! W tym wypadku nie myśl, a uczucie. Myślę, że coś czuję, a czuję, że przestałem myśleć. (śpiewa na melodię „Ach, Ludwiko“)

Ach, Lilianno, ja kocham ciebie, panno,
Oczarował mnie twój wdzięk i uroda,
Że nie jestem trochę młodszy, jaka szkoda...

RAJSKA: Ludwiczku, stanowczo za dużo wypijeś. Co o tobie pomyśli panna Lilusia?

LILIANNA: Myślę, że pan Ludwik to bardzo inteligentny i sympatyczny mężczyzna.

LUDWIK: Widzisz, jaką mam popularność... w masach. A ty wciąż... Ludwiczku to, Ludwiczku tamto... Krępujesz moją indywidualność.

W tej chwili Rajski, którego żona przez cały czas hypnotyzuje wzrokiem, porwał ze stołu kanapkę. Rajska usiłuje mu ją odebrać — bezskutecznie.

KABASIŃSKA: Pan naczelnik zdaje się ma zaszczyt być głodnym.

RAJSKA: Muszę państwa przeprosić w imieniu męża. Taki nieposkromiony apetyt, jak państwo widzą, to właśnie jeden z objawów tej choroby. Traci przy tym panowanie nad sobą i gotów by zabić człowieka, który przeszkodzi mu w jedzeniu.

RĄCZKIEWICZ: Appetitus furiosus. W pewnych wypadkach lepiej mu nie przeciwdziałać, by nie wywołać stanu furii u chorego.

RAJSKI (zajada w dalszym ciągu, nie zważając na rozpaczliwe protesty żony): Wszystko mi jedno. Możecie mnie nawet do sanatorium dla umysłowo chorych wysłać, byle nie z pustym żołądkiem.

KUKUŁKOWA: W Krynicy to z pewnością przejdzie. U Witusia było na odwrót: przed wyjazdem nie mógł jeść, a tam odzyskał apetyt.

RACZKIEWICZ: Wobec powyższego wzniesiemy toast za Krynice, naszych uzdrowisk żrenicę!

Wszyscy piją.

KABASIŃSKA: Nigdy jeszcze z mężem nie byliśmy w Krynicy. Mąż miewa takie różne przypadki...

LILIANNA: To w przyszłym roku mogą państwo pojechać.

KABASIŃSKI: Przepraszam, ale skierowania przydziela się komisyjnie, na podstawie orzeczenia lekarza.

LILIANNA: To komisja państwu przydzieli. A co w tym trudnego... pan doktor robi orzeczenie, a tatuńcio z panem naczelnikiem poprą.

KUKUŁKOWA: Jesteś niemożliwa. Wiesz przecie, że nie wystarczy byle jaka choroba, żeby pojechać do Krynicy.

KUKUŁKA: Pan Kabasiński to nie byle jaki pracownik. Tacy jak on nie miewają byle jakich chorób. Wszystko może się zdarzyć do następnego przydziału skierowań.

KABASIŃSKA: Bardzo jesteśmy wdzięczni panu naczelnikowi. Tak pragnęłam pobyć w eleganckim towarzystwie i mężowi też bardzo się przyda Krynica. (do Kabasińskiego) Podziękuj panu naczelnikowi.

KABASIŃSKI: Podziękowanie w tym wypadku uzależniam od rzeczywiście istniejących wskazań i opinii komisji. Dopóki nie posiadam orzeczenia lekarskiego, nie mogę składać żadnych w tym kierunku oświadczeń.

LILIANNA: To niech pan Kabasiński zachoruje na jakąś łacińską chorobę, najlepiej na taką, o której mówił pan magister.

LUDWIK *(z pijackim patosem)*: Znajduję oddźwięk, jestem cytowany, eo ipso jestem wielkim człowiekiem.

RAJSKA: Ludwiczku, może wyjdiesz z panną Liliusią na balkon. Świeże powietrze dobrze wam zrobi. Dobrana z was para.

LUDWIK: I owszem... dobrać się... to jedno, a pobrać się... to zupełnie co innego. *(chwiejąc się z lekką wyprowadza Liliannę na balkon)*

RAJSKA: Braciszek lubi bluźnić na pokaz. Zaręczam państwu, że myśli ma legalne i... matrymonialne.

KABASIŃSKA: Tylko szczęście żeby mieli, bo teraz te małżeństwa to jak dawniej suknie u pań z towarzysztwa: na jeden sezon.

KUKUŁKOWA *(obrażona)*: Zależy, kto z kim i z jakiej sfery.

KUKUŁKA *(wstaje)*: Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli wszyscy już podziękujemy. Pacjent jest wyraźnie zmęczony towarzystwem.

RAJSKI: Przeciwnie, czułem się trochę niewyraźnie, ale już mi przeszło.

RAJSKI: Przeszło... sami państwo widzą. Chorobę traktuje jak grzech. Myśli, że da się ukryć.

Towarzystwo powstaje, dzieli się na grupy. Kabasińscy podchodzą do Rączkiewicza.

KABASIŃSKI: Przepraszam pana doktora... Nie zapamiętałem choroby pana naczelnika, a jako członek komisji mam obowiązek znać nazwę choroby.

RĄCZKIEWICZ: Oczywiście... rozumie się, w tej chwileczce, napiszę panu na karteczce. *(wydziera z notesu kartkę, pisze, podaje)* Bardzo proszę.

KABASIŃSKA: Może by jeszcze pana magistrza zapytać, bo u niego to tak jakoś długo i dziwnie...

RĄCZKIEWICZ: I owszem, można i pana magistrza, od strony prawniczej, że tak powiem.

Kabasińscy znikają na balkonie, skąd za chwilę wracają.

KUKUŁKOWA (do Rajskich): Radzi jesteśmy nie-
zmiennie... Życzymy państwu przyjemnego pobytu.
Szkoda tylko, że młodzi będą skazani na rozstanie.

RĄCZKIEWICZ: „Co się odwlecze, to nie uciecze“,
jak mówi przysłowie, a odległość i brak wzmaga smak.

KABASIŃSKI (do gospodarzy): Przepraszamy bar-
dzo... chcieliśmy złożyć wyrazy podziękowania.

KABASIŃSKA: Doprawdy, nie wiemy, jak państwu
wyrazić za wszystko, co państwo raczyli...

RAJSKA: Nie ma o czym mówić... po prostu drob-
ne towarzyskie przysługi, za które pan kierownik może
z łatwością... przy odrobinie dobrej woli...

KUKUŁKA: A tej nikomu z nas nie zbraknie,
a zwłaszcza panu Kabasińskiemu. Nieprawdaż, panie
Kabasiński? (przedrzeżniając Kabasińskiego). Śmiem
twierdzić, że można na pana liczyć.

KABASIŃSKI: Wedle rozkazu... to znaczy... jestem
do usług pana naczelnika.

KUKUŁKA: Wobec wyczerpania zarówno porządku
dziennego, jak i gospodarza...

LUDWIK (który wszedł w tej chwili z Lilianną
z balkonu): Nie pozostaje nam nic innego, jak powie-
dzieć wszystkim adieu, au revoir, merci bien, thank you.
(podaje szarmancko ramię Liliannie i puszczając przo-
dem Kukułków, Kabasińskich i Rajską, zamyka z Li-
lianną pochód)

Na scenie pozostaje Rajski, korzysta z okazji — rzuca
się na jedzenie. Po chwili wracają R a j s k a
i R ą c z k i e w i c z.

RAJSKA: Jezus, Maria! Nie wolno! (wspólnie
z Rączkiewiczem zabiera mu jedzenie)

RAJSKI (oszołomiony, w napięciu, do Rączkiewicza):
Niech mi pan powie, doktorze... tak szczerze, z ręką na
sercu... czy ja naprawdę jestem chory?

A K T III

Pokój biurowy w Powiatowej Radzie Związków Zawodowych. Dwa biurka, przy których siedzą dwaj instruktorzy: Banaś i Drzewiecki. Na biurkach papierki, „sprawy“. Banaś siedzi nad teczką pełną akt.

BANAŚ: Od dziesięciu dni, odkąd mnie tym „czynnikiem“ zrobiono, grzebię się w tych papierkach i wciąż jestem jednakowo głupi.

DRZEWIECKI: Mądrzejsi widać od ciebie poplątali. Tak jak u mnie... Trzode chlewną, psiakrew, do świetlic pakuja, byleby ludzie nie mieli wstępu.

BANAŚ: U ciebie to choć sprawa jasna, kto kogo i po co. A u mnie... posłuchaj dla przykładu. *(bierze plik połączonych ze sobą akt, wertuje, czyta)* Apolonia Kaczmarek, chłopka ze spółdzielni produkcyjnej gmina Działdowo, pracuje w GS-ie, lat 51, napisała do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej *(czyta)* „Mam chore serce i bardzo źle się czuję. Mówiom, że są u nas doktorzy, co leczą takie choroby jak moja. Pomóżcie mi, Obywatelu Przewodniczący, żebym się do niego dostała i żeby mnie on wyleczył, a obiecuję wam, że oddrobię wszystkie kosza i oddam wszystkie siły na dobro Ludowej Ojczyzny“. List był pisany w kwietniu 1951, to znaczy prawie półtora roku temu. *(wertuje dalej)* Przewodniczący WRN skierował sprawę do naczelnika Wydziału Zdrowia z prośbą o zbadanie. Naczelnik Wydziału Zdrowia WRN przesłał ją naczelnikowi Wydziału Zdrowia PRN *(czyta)* „...z prośbą o wyjaśnienie, czy takowa rzeczywiście zasługuje na pomoc lekarską, i prze-

ślanie konkretnych wniosków w tej sprawie". Nasz naczelnik Rajski przesłał trzeci z kolei odpis pisma Apolonii Kaczmarek do Ośrodka Zdrowia w Gminnej Radzie Narodowej z prośbą (czyta) o „...zaznajomienie się ze stanem zdrowia Apolonii Kaczmarek oraz o przesłanie nam odpowiednich propozycji odnośnie ewentualnego skierowania wyżej wymienionej obywatelki do specjalnego leczenia“.

DRZEWIECKI: Cholera, nie wiedziałem, że z tego Rajskiego jest taki poeta.

BANAŚ: Poczekaj, jeszcze nie koniec poezji. Osiemnastego listopada, a więc w osiem miesięcy po wysłaniu listu przez Apolonię Kaczmarek, odpisała Gminna Rada Narodowa: (czyta) „W związku ze zgonem obywatelki Apolonii Kaczmarek, który nastąpił w dniu 7 sierpnia bieżącego roku, Ośrodek Zdrowia zawiadamia, że sprawa dalszego leczenia jej przez specjalistów jest w zasadzie nieaktualna“.

DRZEWIECKI: W z a s a d z i e wszystko w porządku. Każda z wyżej wymienionych postaci postąpiła zgodnie z literą prawa, a obywatelka Apolonia Kaczmarek dokonała żywota także zgodnie z prawem natury.

BANAŚ: Przestań się wymądrzać. Oświatowy jesteś, poradziłbyś coś.

DRZEWIECKI: A co ci poradzić? Jak wskrzesić Apolonię Kaczmarek? Nie potrafię.

Wchodzi H a r n a s i o w a.

HARNASIOWA: Ja do was, towarzyszu Banaś.

BANAŚ: Dzień dobry, towarzyszek Harnasiowa. Siadajcie. Opowiedzcie, co u was słychać. Taką macie zatroskaną minę...

HARNASIOWA: Bo niedobrze słychać, towarzyszu. Od rana latam jak pies z wywieszonym jęzorem, żeby znaleźć człowieka, co mi w mojej biedzie pomoże. A tu jak na złość ani towarzysza Matusiaka, ani towarzysza Ziembę nie znalazłam. To już do was po starej znajomości przyszedłam, pomóżcie w nieszczęściu.

BANAŚ: A co takiego? Towarzyszowi Harnasiowi coś się złego przytrafiło?

HARNASIOWA: A przytrafiło się, bo zachorował, trzeci dzień, jak leży w szpitalu i gorączka go pali. Dziś z rana przychodzę, patrzę, leży ci taki rozpalony, to mi się serce ścisnęło i biegnę do siostry Anielci, a trzeba wam wiedzieć, że z siostrą Anielcią jesteśmy w dobrej przyjaźni, bośmy ją za Niemca jak rodzoną przygarnęli. Przychodzę i powiadam, że ratunku mu potrzeba, bo go ta gorączka na amen spali... (zaszłochota)

BANAŚ: Uspokójcie się, przecie mu pomogą. Pewnie jakie zapalenie, a na to dobra jest penicylina, skutkuje od razu, jak ręką odjął.

HARNASIOWA: Właśnie o te pani Celine się rozchodzi. Siostra Anielcia to samo mówi, że pani Celina potrzebna. A ja się pytam, gdzie ona, na kraj świata pójdę, żeby ją do Wicusia sprowadzić. A potem wyszło, że to takie lekarstwo, którego nie ma i nie można go dostać.

BANAŚ: Jak to nie ma? Penicyliny nie ma? Coś się wam widać poplątało.

HARNASIOWA: Właśnie tak samo się pytam: „Jakże to nie ma?” To wtedy siostra Anielcia zamyka drzwi dla sekretu... „Pani Harnasiowa — powiada — pani Celina jest, tylko nie dla wszystkich”. „Jakże to — mówię — przecie mój mąż to nie każdy. W gazecie jego fotografie drukują, na tablicach go wywieszają, a lekarstwa dla niego nie ma? I w ogólności, jaka to demonstracja, żeby tak »nie dla wszystkich«! To wtedy ta siostra Anielcia ciągnie mnie za te zasłonki od zastrzywszystko: i pani Celina, i streptomedycyna, i doktor jak pani mąż, doktor nie lubi”. Więc się pytam: „Dla kule z Niemcami zbudował, to jest, a dla mego Wicusia to nie ma...”

BANAŚ (przerywa): A jaki doktor leczy towarzysza Harnasia?

HARNASIOWA: Rączkiewicz się nazywa. Więc ja już wtedy nie panująca nad sobą zadaje pytanie: „A jakim to prawem ten wasz doktor robi takie kryminały, za pozwoleniem towarzyszy”. A siostra Anielcia na to, że on wszystko notuje w książkach, i jak nie chce dać jakiego lekarstwa, to tak w książce popłacze, że się sam diabeł nie wyzna.

BANAŚ: Ale i z tej waszej siostry Anielci jest numer. Dlaczego nie przyszła z tym, nie dała znać?

HARNASIOWA: To samo jej powiedziałam, że powinna donieść, komu należy. A ona na to: „Rączkiewicz, powiada, ma szerokie chody, z naczelnikami przestaje, do Rajskich chodzi i do Kukułków, a jak ona na niego doniesie, to jemu nic nie zrobią, a ją ze szpitala wyleją”. A ja pomyślałam, że mój by takiego draństwa nie przepuścił, do partii by poszedł, bo jak w cegielni był nieporządek i bumelanctwo się na jego oddziale zaczęło, to on z tym pierwszy do towarzysza Ziemby się wybrał. To ja już do was, towarzyszu, po ratunek i radę przyleciałam.

BANAŚ: Dobrze, żeście z tym przyszli nie zwlekając. Poczekajcie... *(pod wpływem nagłej myśli)* Wracajcie, towarzyszko, do domu i bądźcie spokojna. Wszystko będzie załatwione.

HARNASIOWA: I pani Celina?

BANAŚ: I penicylina, i wszystko, co potrzebne, żeby towarzysza Harnasia postawić na nogi.

HARNASIOWA: Dziękuję. To ja już pójdę. *(wychodzi)*

BANAŚ: O, to rozumiem. W porę zasygnalizowano, podano we właściwe ręce... zupełne przeciwieństwo Apolonii Kaczmarek. I dlatego towarzysz Harnaś będzie żył.

DRZEWIECKI *(śpiewa)*: Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

BANAŚ: Co w tym śmiesznego? Nigdy nie wiadomo, jak się zachowasz.

DRZEWIECKI: Na odwrót, oceniam sytuację po-

ważniej niż ty. Można by nawet wygłosić na ten temat referat: *(deklamuje)* Przed chwilą zetknęliśmy się z klasycznym przykładem walki klasowej, w której wróg usiłuje podważyć najszlachetniejsze zasady naszego ustroju. Bo z jednej strony państwo buduje szpitale i sanatoria dla takich właśnie jak Apolonia Kaczmarek i Wincenty Harnaś, a z drugiej — dzięki Rączkiewiczom i Rajskim...

BANAŚ *(przerywa)*: Niesłuszne zestawienie. Rajski to poczciwy urzędnik. Chciałem właśnie do niego zadzwonić w tej sprawie. *(podnosi słuchawkę, nakręca numer)*

DRZEWIECKI: Stwierdzam, że sprawa wchodzi na utarte tory, niemal jak u Apolonii...

BANAŚ *(przez telefon)*: Z naczelnikiem Rajskim proszę. Mówi Banaś z PRN. Ja w takiej sprawie: W szpitalu miejskim leży towarzysz Harnaś. Nie znacie go? Szkoda, przodownik. Ma wysoką gorączkę i nie dostaje pomocy lekarskiej. Doktor Rączkiewicz. A, tak... Wybaczcie, że was fatygowałem. *(kładzie słuchawkę, do Drzewieckiego)* Powiada, że sam jest na urlopie zdrowotnym i właściwie już nie urzęduje, a co do Rączkiewicza, to zna go od przeszło dwudziestu lat i ma do niego jako do lekarza stuprocentowe zaufanie. Innymi słowy — „nic mnie to nie obchodzi“, za drobna sprawa dla pana naczelnika.

DRZEWIECKI *(niby to zatopiony w papierkach)*: Wolę już swoje bydłatka, jeśli mam być szczerzy.

Wchodzi Szczypiorska, teczka pod pachą.

SZCZYPIORSKA: Dzień dobry. Przychodzę z polecenia przewodniczącego Dąbka. Obywatel przewodniczący wyjechał dziś na dwudniową naradę do województwa, zleciwszy mi przed wyjazdem omówienie z wami sprawy niejakiego Kubali Franciszka. Pragnę nadmienić...

BANAŚ: Znamy dokładnie sprawę Kubali. *(wskazuje na biurko)* Leżą tu jego papiery.

SZCZYPIORSKA: Pragnę jednakże nadmienić, że

w sprawie tej interweniowali osobiście u przewodniczącego obywatele Ziembą i Ciołek, reprezentujący organizacje społeczne i polityczne na terenie fabryki. W związku z tym...

BANAŚ (przerzywa): Nie fatygujcie się. Z towarzyszami Ziembą i Ciołkiem mówiłem niejednokrotnie. Sprawa jest jasna jak słońce. Kubala musi w tym miesiącu wyjechać do Krynicy. Otrzymaliśmy trzy skierowania lecznicze i jedno z nich otrzyma Kubala.

SZCZYPIORSKA: Wnioskuje z tego, że nie ma potrzeby wprowadzania kolegi w meritum sprawy, jakkolwiek mam w tej teczce wszystkie nieodzowne do tego dokumenty.

BANAŚ: To zbyteczne. A papierów mam pewnie więcej od was. (wskazuje na biurko) Spójrzcie, co się tu dzieje. Zresztą, co tam papierki, wystarczy na niego popatrzeć.

SZCZYPIORSKA: Nie znam obywatela Kubali osobiście, nie było mi to potrzebne dla formalnego załatwienia sprawy.

BANAŚ: A dla mnie, widzicie, człowiek to najważniejsze. Bo co tu gadać, Kubala był przodownikiem, aktywistą, a teraz co? Prawie inwalida. Tego w waszej teczce nie ma. (po chwili) Krótko mówiąc, jutro mamy posiedzenie komisji, powiedzcie przewodniczącemu, że sprawa będzie załatwiona.

SZCZYPIORSKA: Poproszę was w takim razie o pisemne zawiadomienie referatu skarg i zażaleń o wyniku obrad jutrzejszej komisji odnośnie obywatela Kubali Franciszka.

BANAŚ (zniecierpliwiony): Dobrze już, dobrze. Jeszcze jeden papierék. (po chwili) Słuchajcie, mam tu taką sprawę do referatu skarg i zażaleń... Trzeba tylko bardzo szybko działać, natychmiast. Chodzi o życie człowieka.

SZCZYPIORSKA: To niemożliwe. Każda sprawa musi być przedstawiona na piśmie, decyzja bowiem, jak wam powinno być wiadomo, wymaga rozwagi, a zbyt pochopne załatwienie sprawy powoduje często omyłki

i wprowadza zamieszanie w usystematyzowany styl pracy referatu. Przedstawcie sprawę na piśmie, w ciągu dziesięciu dni otrzymacie odpowiedź. Jeśli was ona nie zadowoli, macie prawo odwołać się do naczelnika oddziałowego wydziału, w wypadku zaś ponownych zastrzeżeń — do decyzji przewodniczącego. Do widzenia! (wychodzi)

DRZEWIECKI: Makulatura.

BANAŚ: I tacy załatwiają sprawy żywych ludzi! (po chwili) Wiesz, co sobie pomyślałem patrząc na nią? Że to ona zamordowała Apolonie Kaczmarek, po prostu zadusiła ją papierkami. I że w ogóle — wszystkiemu winne są papierki, papierowi ludzie, papierkowy świat. Nie śmieję się. Jestem gotów to udowodnić, na jakim chcesz przykładzie... Harnasia, Kubali... Zobaczysz, trochę dobrej woli, inicjatywy, energii, parę rozmów z żywymi ludźmi, a każdą sprawę można załatwić. (podnosi słuchawkę, nakręca numer)

DRZEWIECKI: Uwaga, uwaga, za chwilę odbędzie się niebiurokratyczna rozmowa z żywym człowiekiem.

Wchodzi K a b a s i ń s k i.

BANAŚ: O wilku mowa... Właśnie chciałem do was zadzwonić. Usiądźcie.

KABASIŃSKI: Dziękuję, ja również zamierzałem zatelefonować, ale nie zastawszy pana, byłem zmuszony osobiście...

BANAŚ: Słuchajcie, towarzyszu Kabasiński. Harnaś leży w szpitalu i trzeba, żeby się nim lekarz natychmiast zajął.

KABASIŃSKI: I owszem. Chciałem powiedzieć, że odpowiednie dyspozycje zostały wydane. Przypadkiem miałem zaszczyt być świadkiem rozmowy pani naczelnikowej Rajskiej z panem doktorem Rączkiewiczem w tej właśnie sprawie.

BANAŚ: I co? Załatwił?

KABASIŃSKI: Raczył wyrazić zgodę! Śmiem... chciałem powiedzieć, że doktor Rączkiewicz to znako-

ra-
bi-
le-
s-
e-
n-
i-
mity specjalista... I w tej właśnie kwestii, to znaczy
w kwestii diagnozy pana doktora odnośnie choroby pa-
na naczelnika Rajskiego...

BANAŚ: Słyszałem. Cieszę się, że z Harnasiem za-
łatwiono. (do Drzewieckiego) Widzisz, filozofie, zawsze
znajdzie się uczciwy człowiek, który załatwi uczciwą
sprawę. Byle w porę zasygnalizować. (do Kabasińskiego)
I co to za choroba tego Rajskiego?

KABASIŃSKI (poprawia): Pana naczelnika Raj-
skiego... W tej chwileczce służę... (wyjmuje z kieszonki
kamizelki kartkę, podaje Banasiowi) O, jest, proszę.

BANAŚ: Co to? (czyta) Hepatitis parenchimatosa,
cholecystitis icterus, aurea prima sata... Po jakiemu to?
Nic nie rozumiem.

KABASIŃSKI: Choroba, która raczyła nawiedzić...
na którą raczył zachorować pan naczelnik Rajski.

BANAŚ (dobrodusznie): Przyzwoity z pana czło-
wiek, panie Kabasiński. Tak się pan wszystkim i wszyst-
kimi przejmuje. A co do Kubali i Pietrzyka, jak pan
sądzi? Wyślemy ich teraz na pierwszego do Krynicy?

KABASIŃSKI: To niemożliwe... Chciałem powie-
dzieć, że właśnie pan naczelnik z powodu nieoczekiwa-
nej choroby...

BANAŚ: Głupstwo. Załatwimy bez Rajskiego. Jego
choroba nie może przeszkodzić pracy komisji. Najle-
piej, jeżeli dziś jeszcze zwołamy posiedzenie i wręczy-
my Kubali i Pietrzykowi skierowania.

KABASIŃSKI: Tylko że... zmuszony jestem nad-
mienić... pan naczelnik musi otrzymać wszystkie skiero-
wania... ze względu na ciężki stan wymagający asysty
dwóch osób z najbliższej rodziny.

BANAŚ: Co? Rajski? Wszystkie skierowania? I dwie
niańki? Pan chyba żartuje, panie Kabasiński.

KABASIŃSKI: Pozwolę sobie...

BANAŚ: A ja nie pozwolę. Ani panu, ani Rajskie-
mu, ani nikomu. To wstyd, panie Kabasiński. I kto pana
tak nakreślił?

KABASIŃSKI (z godnością): Za pozwoleniem... Nie zostałem nakręcony... Zostałem tylko przekonany.

BANAŚ: I przekonano pana, że choroba Rajskiego jest ważniejsza niż Kubali?

KABASIŃSKI: Nie choroba, pozwolę sobie sprostować, ale stanowisko.

BANAŚ (nie panuje nad sobą): A ja... Nic mnie wasze stanowisko nie obchodzi. To jest świństwo, a nie stanowisko! I pan jest... Nie urzędnik, a świnia. Tak właśnie, za pozwoleniem, mówiąc pańskim językiem.

KABASIŃSKI: Wypraszam sobie... pan nie ma prawa... Jestem osobą urzędową. Ja... złożę raport panu naczelnikowi Kukułce.

BANAŚ: Niech pan składa raporty. Niech się pan troszczy o naczelników i innych dostojników. Tylko niech się pan nie zajmuje ludźmi bez tytułów. I niech pan już idzie, panie Kabasiński, niech pan idzie, bo...

KABASIŃSKI (cofa się, przestraszony, przed nacierającym Banasiem; w drzwiach): Ja pana do odpowiedzialności... (znika)

Drzewiecki wybucha głośnym śmiechem.

BANAŚ (stoi wzburzony, wściekły): Śmieszne, co?

DRZEWIECKI: Bardzo. „Uczciwy człowiek zawsze załatwi uczciwą sprawę”. (opanowuje śmiech) Poczekaj no. Jaką on ci chorobę podał? Aurea prima sata est aetasque vindice nullo... (bierze z biurka kartkę, znowu zaczyna się śmiać) Kapitalna farsa, jak bożę ko-

BANAŚ: Przestań! Jeśli wiesz, co to za choroba, to mów, a nie mądrz się.

DRZEWIECKI: Wiem. Wymyślił ją Owidiusz.

BANAŚ: Kto to? Lekarz?

DRZEWIECKI: Nie, poeta.

BANAŚ: Znowu zaczynasz. Myślałem, że znasz się na medycynie, że mi pomożesz. (po chwili) Gdybym

wiedział, który z nich obu jest bardziej chory, Kubala czy Rajski...

DRZEWIECKI: Nie trudnego. Spójrz no do akt. Który z lekarzy podpisał wniosek Kubali?

BANAŚ: Łukaszek.

DRZEWIECKI: To niech ci on powie, kto bardziej chory.

BANAŚ: A wiesz, to dobra myśl. *(nakręca numer)* Szpital? Doktora Łukasza proszę. To proszę mu powiedzieć, żeby w przerwie wstąpił do PRZZ, do Banasia. Tak. *(kładzie słuchawkę)* Pokażę mu te hieroglify i niech powie, czy od tego się tak od razu umiera. A najlepiej niech go zbada, przecie jako lekarz ma prawo. Czuje, że znaleźliśmy klucz do sprawy. *(dzwoni telefon, Banaś podnosi słuchawkę)* Tak. Dzień dobry. Pogoda i owszem, ale trzydziestu dwóch to chyba nie ma. Dziękuję. Tak, właśnie, narzeczona. *(zastania ręką słuchawkę)* Kukułka, agituje mnie, żeby z nim w niedzielę pójść na ryby i w ogóle... jakieś propozycje, takie gadanie... *(odstania słuchawkę)* Przepraszam, ktoś tu wszedł... Słucham. *(słucha, coraz bardziej wzburzony)* Więc to w porozumieniu z wami... Znam już te łaciny, nie fatygujcie się. Założmy, że to bardzo niebezpieczna choroba, taka zagraniczna, niezwykajna, na którą nawet przyzwoitej nazwy nie ma. Zgoda, ale może by tak porównać, bo na oko, dla takiego jak ja, to Kubala jednak wygląda bardziej chory i Pietrzyk także. *(słucha)* A ja znajdę czas na dyskusje. *(kładzie słuchawkę, wzburzony)* Kiedy człowiek umiera, to nie ma czasu na dyskusje. A Apollonia Kaczmarek umarła z powodu dyskusji i Kubali też niewiele brakuje. Tylko co do Rajskiego, to nie chcą dyskusji...

DRZEWIECKI: Dochodzisz do odkrywczych wniosków. Za dziesięć lat będzie z ciebie szczywany działacz, znakomity taran na Kukułków i Rączkiewiczów, tylko że ich już wtedy nie będzie.

Dzwoni telefon. Banaś podnosi słuchawkę.

BANAŚ *(przedszeźnia Rączkiewicza)*: Moje uszano-

wanie, kłaniam się panu doktorowi. Istotnie, pogoda znakomita, można się kąpać i łowić ryby. Przed chwilą słyszałem, że trzydzieści dwa. Co tam PIHM, wiadomo, omylna instytucja, od samego naczelnika Kukułki słyszałem. *(słucha, w pasji)* Proszę się nie fatygować, miałem już przyjemność dwukrotnie, tak, o nagłej i niespodziewanej. Również nazwę... cholera szatańska, furia i temu podobne. Można i po łacinie. Nie sądzę, bo mamy paru ważniejszych kandydatów. Na jakim stanowisku? Robotniczym. Kto ważniejszy, nie będę się z panem spierał, a czyja choroba ważniejsza, sprawdzimy przez komisję. Nie ma się czego obrażać. Pan po koleżeńsku zbada Kubalę, a doktor Łukaszek pana Rajskiego, potem wspólnie zdecydujecie, kto bardziej chory. Niech mi pan nie grozi, nie jestem strachliwy. Można zobaczyć... *(kładzie słuchawkę)* Słyszałeś? Wygraża mi, że będę odpowiadał za życie tego... A życie Kubali to ma gdzieś.

Wchodzi Ł u k a s z e k.

ŁUKASZEK: Mówiono mi, że pan dzwonił.

BANAŚ: Siadajcie. Poprosiłem was w sprawie Kubali. Powiedzcie, jak jest właściwie z jego zdrowiem? Pytam w związku z waszym wnioskiem.

ŁUKASZEK: Napisałem przecie. Jego stan jest niedobry i stale się pogarsza. Mówiliśmy zresztą o tym, że Kubala musi wyjechać do Krynicy, i radziłbym jak najprędzej.

BANAŚ: Bo widzicie... wybuchła taka sprawa. Przed chwilą dzwonił doktor Rączkiewicz, że nagle zachorował naczelnik Rajski. Doktor Rączkiewicz twierdzi, że stan jego jest groźny i natychmiast musi wyjechać na leczenie sanatoryjne do Krynicy i w dodatku pod opieką dwóch osób.

ŁUKASZEK: No cóż... To rzeczywiście komplikuje sprawę. Ale skoro doktor Rączkiewicz dał taką diagnozę...

BANAŚ: Ale sam pan przed chwilą powiedział, że

Kubala musi pojechać. Więc jak to zrozumieć... Czy jego zdrowie jest mniej ważne niż zdrowie Rajskiego?

ŁUKASZEK: Tego nie powiedziałem. Wie pan przecież, że od dawna stawiam sprawę wyjazdu Kubali. Ale nie ja o tym decyduję...

BANAŚ: Ale musi pan zająć jakieś zdecydowane stanowisko. Może jakieś konsylium zrobicie, żeby i pan mógł zbadać Rajskiego... Przecie nie można o takich sprawach wyrokować na podstawie opinii jednej osoby.

ŁUKASZEK: Mógłbym to zrobić tylko na prośbę kolegi Rączkiewicza. Pan naczelnik Rajski jest jego pacjentem i nie widzę żadnych podstaw...

BANAŚ: Więc jakie jest wyjście? Co pan proponuje?

ŁUKASZEK: Doprawdy... Nie wiem, co panu powiedzieć. Bardzo mi przykro. Kolega Rączkiewicz jest członkiem Komisji Uzdrowiskowej i ma poniekąd pierwszeństwo. Zrobiłem, co mogłem: poparłem wniosek na piśmie i ustnie.

BANAŚ: Dziękuję. Przepraszam, że przeszkodziłem panu w pracy.

Łukaszek wychodzi.

BANAŚ: Słyszałeś? *(przedrzeźnia)* „Skoro kolega Rączkiewicz dał taką diagnozę... Kolega Rączkiewicz jest członkiem komisji i ma poniekąd pierwszeństwo”... I gadaj tu z takimi!

DRZEWIECKI: Czego się złościś? Z Łukaszka chcesz zrobić Judyma, żeby kruszył kopie z Rączkiewiczem o sprawę Kubali.

BANAŚ: Ale co dalej robić, co począć... Przecież nie mogę tego tak zostawić.

Wchodzi K u b a l a, widać, że chory.

BANAŚ *(zmieszany)*: Dzień dobry, towarzyszu Kubala. Usiądźcie. Właśnie waszą sprawę wałkujemy... Może zapalicie? *(częstuje)*

KUBALA: Dziękuję. Niepalący jestem. Przyszedłem się dowiedzieć w sprawie tej Krynicy...

BANAŚ: Tak... wiem. A właściwie to nic nie wiem. *(z wzrastającą pasją)* Pół godziny temu wiedziałem, a teraz nie wiem. Mówiliśmy z towarzyszem Ziembą, Ciołkiem, ze Szczypiorską, że trzeba was wysłać. I towarzysz Dąbek tak uważa... jednym słowem — nie było co do tego dwóch zdań. Aż tu nagle dzwonią, że zachorował naczelnik Rajski... Sam naczelnik zachorował! I sam doktor Rączkiewicz dzwoni, że to nie choroba, tylko pożar. Pali się, do cholery! Zresztą, co tu gadać — wasza choroba to mucha w porównaniu z tamtą. Bo wy macie co? Wrzód żołądka? A tam jest *(czyta z kartki)* Hepatitis parenchimatosa cholecistitis... cholera rozumiecie, aurea prima sata... słowem szatańska choroba. I co wy na to? Widzicie sami, że nie ma porównania, tak jak słoń afrykański z naszym kundlem. A porównać wasz wygląd z wyglądem Rajskiego... Też żadnego porównania. Więc jak tu decydować, powiedzcie sami, bądźcie wy tacy mądrzy...

KUBALA *(podnosi się)*: To ja już pójdę.

BANAŚ *(ocknął się w momencie, kiedy Kubala już wychodził)*: Poczekajcie... Nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli. Nie powiedziałem właściwie nic. To znaczy, wiem, że powinniście, że musicie pojechać, a nie wiem, Czy pojedziecie. Co też ja mówię... Jeżeli powinniście, to znaczy, że pojedziecie, choćby nie wiem co i kto... Ja w każdym razie nie ustąpię... Wierzcie mi, że nie ustąpię.

K U R T Y N A

AKT IV

Ten sam pokój w mieszkaniu Rajskich, co w akcie pierwszym i drugim. Tym razem nieład, pokój zawalony walizami i tobołami.

RAJSKA: O mało nie zapomniałam zapakować tego szlafroka z czaplami. Korycińska ma takie zdjęcie w szlafroku, jak pieści sarenkę na deptaku, bardzo oryginalne. A ta Adela też nie mogła sobie lepszej pory wybrać na pójście do szpitala. Nie wierzyłam nigdy w choroby ludzi przyzwyczajonych do pracy fizycznej. Medycyna też lubi pacjentów na pewnym poziomie. (po chwili) A ty czego tak ciągle patrzysz na zegarek? Bądź spokojny, Ludwiczek miał załatwić dorożkę, z pewnością w porę przyjedzie.

RAJSKI: Pociąg z Warszawy był niedawno. Pewnie Tereska przyjechała.

RAJSKA: Co ci strzeliło do głowy? Mówiła przed wyjazdem, że wprost z Warszawy pojedzie na praktykę.

RAJSKI: Mówiłem z nią wczoraj telefonicznie, obiecała przyjechać.

RAJSKA (zaniepokojona): Mówiłeś z nią? I co? Powiedziałeś jej, że wyjeżdżamy?

RAJSKI: Oczywiście... Pytała o moje zdrowie i dokładnie o wszystkim chciała wiedzieć. Kochane dziecko. Tak się przejęła, że obiecała wpaść jeszcze przed naszym wyjazdem.

RAJSKA: Jezus, Maria, coś ty narobił! Jak mogłeś jej to powiedzieć.

RAJSKI: Nie jej takiego nie powiedziałem... Mówiłem, że czuję się zupełnie dobrze... Zresztą przekonałem się na własne oczy, że wyglądam wcale nieźle. (po chwili, widząc rozpaczliwą reakcję żony) A wiesz, że nie wiedziała o niczym. Zadzwoiła po prostu, żeby zapytać o jakiegoś Kubalę. Mówi, że przekazała ci jego sprawę przed wyjazdem. Nie mi o tym nie wspominałaś.

RAJSKA: Tak... rzeczywiście. Zupełnie zapomniałam. Powiadasz, że przyjedzie... I co teraz będzie, co będzie...

RAJSKI: Po prostu powiesz, że zapomniałaś. Zapoznam się z tym po powrocie. Zdaje się, że chodzi o jakiegoś chorego robotnika, coś sobie przypominam.

RAJSKA: Nie o tym mówię... Skaranie boskie, co za człowiek. I jak ona to przyjęła? Co powiedziała?

RAJSKI: Nic takiego... nadzwyczajnego. Nie zauważyłem, żeby się specjalnie przejęła.

RAJSKA: Nigdy niczego nie zauważysz, ale nawarzyć to nawarzyłeś.

RAJSKI: Nie wiem, o co ci chodzi. Musiałem przecież coś powiedzieć. Milczenie dopiero by ją zaniepokoiło. Nigdy nie wiadomo, jak ci dogodzić. (wychodzi)

Dzwonek. Rajska wychodzi, za chwilę wraca z Rączkiewiczem.

RĄCZKIEWICZ: Państwo już na wylocie, to bardzo dobrze. Bo w takiej sytuacji, wie pani dobrodziejka, to nigdy nic nie wiadomo. Im prędzej i dalej od tych tu Banasiów i Dąbków, tym bezpieczniej.

RAJSKA (zaniepokojona): Nie rozumiem... czyżby coś...

RĄCZKIEWICZ: Broń Panie Boże... nic takiego nie miałem na myśli, słowo honoru. Chciałem tylko powiedzieć, że stoczyliśmy ciężką batalię, prawdziwą zimną wojnę, mówiąc po dzisiejszemu. Ten Banaś, wie pani dobrodziejka, „czynnik społeczny“, to zacięta sztuka i niebezpieczna...

RAJSKA: Nie kwestionował chyba choroby mego męża?

RĄCZKIEWICZ: Kwestionował, nie kwestionował, a z takimi to nigdy nie wiadomo. I gdyby tylko on jeden. Sam naczelnik Dąbek stanął dęba, że się tak wyrażę. Zawział się, że jakiś tam Kubala musi jechać. Robotnik! Musiałem cały swój lekarski autorytet zaangażować, całą medycynę i to by nie pomogło. Na szczęście wyjechał nagle, wezwali go na jakieś kursy czy konferencje. Uff... mnie samemu przydałaby się Krynica po takich przejściach.

RAJSKA: Zapewniam pana, doktorze, że zdajemy sobie z mężem sprawę, jaki zaciągnęliśmy dług wdzięczności.

RĄCZKIEWICZ: Głupstwo... Wiadomo, że w naszych warunkach stanowisko to więcej niż człowiek. I gdyby nie autorytet naczelnika Kukułki, to sam nie wiem... Wszystkie te ichnie piekielne moce mieliśmy przeciwko sobie. Taki Banaś albo ten ich Ziemba z pezetpeeru. Brr... nie znoszę ich jak diabeł święconej wody. A ten Dąbek to były majster z cegielni, z takimi, wie pani dobrodziejka, jak trudno. Bo co dla nich znaczy jakiś doktor Rączkiewicz? Co innego naczelnik szpitala...

RAJSKA (*przerywa*): Jak pan sądzi, doktorze... Czy sprawę można uważać za ostatecznie załatwioną?

RĄCZKIEWICZ: Nie pojmuję... Moja sprawa jest w ręku pana naczelnika...

RAJSKA: Chodzi mi o sprawę naszego wyjazdu. Czy nie przewiduje pan jakichś komplikacji...

RĄCZKIEWICZ: Nie przypuszczam... Skoro bileciki znajdują się w torebeczce pani dobrodziejki... I owszem, zaszła jedna komplikacja, że zabrakło miejsca dla panny Teresy. Bardzo żałuję, ale nie poradzę, słowo honoru.

RAJSKA: Teresa nie miała zamiaru wrócić do domu.

RĄCZKIEWICZ: Panna Teresa? Przed dwudziestu minutami widziałem ją w towarzystwie tego młodego człowieka, którego zastałem wtedy u państwa. Córeczka ma demokratyczne upodobania.

RAJSKA (*z głębokim niepokojem*): Czy nie przywidziało się panu? Co prawda mąż wspominał coś o tym... Ale dlaczego nie przyjechała wprost do domu...

RĄCZKIEWICZ: Bo młodość, pani dobrodziejko, nie lubi świadków. Co prawda, jeżeli o nas chodzi, robiliśmy to inaczej, na dyskretnej ławeczce w parku lub w lesku podmiejskim, miesiączek jeno przez listki przeświecał, płaszcza świergotały tirli, tirli... taka rozkoszna uwerturka...

RAJSKA (przerywa): Wspomniał pan o Teresie, gdzie ją pan widział?

RĄCZKIEWICZ: Ach... pannę Teresę spotkałem z tym młodym człowiekiem, nie zgadłaby pani dobrodziejka... Tacy byli sobą zajęci i zaaferowani, że panna Teresa nie raczyła nawet odpowiedzieć na mój ukłon. Nie żywię z tego powodu bynajmniej...

RAJSKA (przerywa): Więc gdzie pan ich spotkał? Na dworcu?

RĄCZKIEWICZ: Na dworcu? Nie byłoby w tym nic interesującego. Każdy przyjezdny musi wysiąść na dworcu. Spotkałem ich na rynku, proszę sobie wyobrazić, koło Komitetu PZPR. Dobry kawał, co? Tak wygląda ta ich socjalistyczna romantyka!

Wchodzi Ludwik w podróżnym stroju, w ręku walizeczka.

LUDWIK (dekluamuje z błazeńskim patosem): Jedziemy przeto w siną dal, gdzie szemrze krynica życiodajnych fal... Kłaniam się panu medicusowi, całuję rączki wielce czcigodnej siostrzyczce. Jak się czuje wielbny szwagierek, sprawca naszego poświęcenia, szlachetna ofiara losu oraz... swojej nieocenionej małżonki.

RAJSKA: Przestań błaznować. Sytuacja nie jest wcale taka wesola, jak ci się wydaje.

LUDWIK: Czyżby się pogorszył stan zdrowia czcigodnego delikwenta? Może za dużo zjadł albo wypił?

RĄCZKIEWICZ: Co też pan magister... Naczelnik, niezależnie od stanu zdrowia, jest w doskonałej podróżnej formie. Opowiadałem po prostu pani naczelnikowej, jakie mieliśmy perturbacje w trakcie załatwiania całej tej transakcji, że się tak wyrażę.

LUDWIK: Domyślam się, cóż... walka przeciwieństw, dialektyka, prawo natury, słowem — zwycięża, kto silniejszy. A najgorzej mnie się z tego wszystkiego dostało. *(śpiewa na melodię „Titiny“)*

Lilianna, Lilianna, ach cóż to jest za panna,
Po prostu cud dziewczyna,
Lecz ja z nią nie wytrzymam.

RAJSKA: To twoja prywatna sprawa. Masz czas się nią zająć po powrocie. Czy nie za późno kazałeś przyjechać dorożkarzowi?

LUDWIK: Podałem mu ściśle odmierzony czas, uwzględniwszy pół godzinki na kawusię w wagonie. *(dzwonek w przedpokoju. Rajska wychodzi)* Czy mi się wydaje, że moja siostrzyczka jest jakaś... nie tego...

Wchodzą Kukulkowa, Rajska, Lilianna, Kukulka, witają się.

KUKUŁKOWA: Prosimy, żeby sobie państwo w niczym absolutnie nie przeszkadzali. Znam to uczucie... tę gorączkę, jaka ogarnia człowieka przed wyjazdem, kiedy o wszystkim musi pamiętać, a wciąż sobie przypomina, że o czymś zapomniał. Mówiłam Witusiowi, że w takiej chwili lepiej nie trudzić państwa wizytą, ale Lilusia spokoju nam od rana nie daje, żeby się jeszcze przed wyjazdem zobaczyć.

LILIANNA: Wcale mamusi nic takiego nie mówiłam. To właśnie mamuńcia od rana o niczym innym nie mówi.

KUKUŁKOWA: Zapomniałaś, moja droga. Masz krótką pamięć i niepotrzebnie się spierasz z matką o byle co.

Wchodzi Rajska.

RAJSKI: Usłyszałem głosy... Myślałem, że Tereska przyjechała.

LUDWIK: Czekał tatka latka.

RAJSKA: Lepiej byś się przygotował do drogi. Ładna chwila zajedzie dorożka.

Rajski bierze kapelusz, palto przewiesza przez ramię, Rajska wkłada kapelusz, żakiet — słowem ostatnie czynności przed wyjściem.

KUKUŁKOWA: Ach, Boże... Równy przed rokiem przeżywaliśmy to samo. Ciekawa jestem, kto pojedzie w przyszłym roku.

RAČZKIEWICZ: Natura ludzka lubi robić niespodzianki, jak w wypadku naszego naczelnikunia, medycyna jest od tego, żeby je ujawniać, a polityka, żeby je właściwie rozwiązywać.

KUKUŁKOWA: Wituś skarży się ostatnio na permanentne bóle głowy. Taką ma nerwową pracę... Nawet dziś przyszedł na obiad zdenerwowany. Nie dałam mu już wrócić do biura.

RAJSKA *(z nerwowym niepokojem)*: Czy miał pan jakieś przykrości?

KUKUŁKA: Głupstwo... Mieliliśmy taką... rozmówkę z przewodniczącym Dąbkim. Nic ważnego... nie warto w takiej chwili psuć państwu nastroju.

RAJSKA: A więc... wrócił już ten... Dąbek?

KUKUŁKA: Tak, dziś z rana. *(do Rajskiego)* Pytał o kolegę. Dziwił się takiej nagłej chorobie.

RAJSKA: Nie pojmuję, dlaczego do tej pory nie ma dorożki.

KUKUŁKOWA: W takich wypadkach najlepiej brać kaucję.

LUDWIK: Kaucję? A jeśli tymczasem nastąpi wymiana pieniędzy?

RAJSKA *(do Ludwika)*: Ludwiczku, może wyskoczysz na chwilę i sprowadzisz dorożkę?

LUDWIK: A po cóż, skoro *(do Lilianny)* każda chwila spóźnienia dorożkarza minuty mego szczęścia pomnaża.

LILIANNA (przy oknie): Mamuńciu, państwo Kabasińscy biegną w tę stronę. Strasznie się śpieszą, tacy śmieszni, chi, chi, chi.

LUDWIK: Pewnie chcą złożyć swoje najgłębsze uszanowanie, wyrazy dozgonnej wdzięczności, dożywotnie zobowiązania et cactera.

RĄCZKIEWICZ (do Kukułki): Swoją drogą to zainteresowanie pana Dąbka jest trochę dziwne... Jak pan sądzi, czy są powody do jakichś przypuszczeń...

Dzwonek w przedpokoju. Rajska wychodzi. Po chwili wpadają Kabasińscy, zdyszani, zaaferowani. Zanimi Rajska.

KABASIŃSKA: Tak się obawiałam, że nie zdążymy... Mąż dopiero przed dziesięcioma minutami wrócił z biura. Pędziliśmy co tchu, żeby złożyć państwu najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pomyślności na drogę. (do Kabasińskiego, z nieukrywaną satysfakcją) A teraz powiedz, co miałeś do powiedzenia.

KABASIŃSKI: Miałem... poczuwam się do obowiązku zakomunikowania państwu, że dziś o godzinie szesnastej dwadzieścia dwa zostałem nagle wezwany do obywatela przewodniczącego...

KUKUŁKA: Dziwne. Przewodniczący, o ile mi wiadomo, kontaktował się zwykle bezpośrednio z naczelnikami wydziałów.

KABASIŃSKI: Śmiem zaznaczyć, że byłem proszony w nader szczególnej sprawie. O godzinie dwunastej trzydzieści pięć — wiadomość tę sprawdziłem w sekretariacie — obywatel przewodniczący został nagle wezwany do sekretarza Komitetu Powiatowego Partii, obywatela Matusiaka. Wróciwszy stamtąd w stanie, śmiem twierdzić, bardzo wzburzonym o godzinie trzynastej z minutami — dokładnego czasu nie zdołałem ustalić z powodu pilności otrzymanych zleceń...

KUKUŁKA: Gadajże pan po ludzku, bez tego sekundomierza!

KABASIŃSKA (z ukrytą złośliwością): Mów, jak ci pan naczelnik każe, jasno i bez zasłonek.

KABASIŃSKI: Wedle rozkazu... Wróciwszy przeto o godzinie... obywatel przewodniczący zawezwał niezwłocznie obywatelkę Szczypiorską, po czym z kolei ja zostałem wezwany. Jeśli państwo pozwolą... pozwolę sobie zrelacjonować treść rozmowy odbytej między obywatelem przewodniczącym z jednej strony, a moją osobą z drugiej strony, wedle kolejności poruszonych w niej spraw.

KUKUŁKA: Jakich spraw? Niechże pan już mówi, do stu diabłów!

KABASIŃSKI: Wedle rozkazu. W pierwszej kolejności zostałem zapytany o sprawę niejakiego Wincen- tego Harnasia, przebywającego od czterech dni w szpi- talu miejskim pod opieką lekarską doktora Rączkie- wicza.

RĄCZKIEWICZ (*wybuch*): Powiedziałem im wczoraj, że się nim zajmę. Czego jeszcze chcą? To niesłycha- ne, po prostu oburzające.

KABASIŃSKI: Przepraszam... śmiem wyjaśnić, że natychmiastowa kontrola zarządzona dziś przez prze- wodniczącego wykazała, że pacjent pomocy lekarskiej nie otrzymał. W związku z powyższym, obywatel prze- wodniczący wydał w mojej obecności zarządzenie na- tychmiastowego przeniesienia obywatela Harnasia na oddział doktora Łukasza.

RĄCZKIEWICZ: Jakim prawem... protestuję. To niesłychane, sprzeczne z wszelkimi zasadami prawo- rządności.

KUKUŁKA (*przerywa mu*): Niech się pan uspokoi, doktorze. (*do Kabasińskiego*) Proszę mówić dalej, o co jeszcze pytał?

KABASIŃSKI: Drugie pytanie dotyczyło gabardy- ny. Chodzi konkretnie o sztukę, którą w całości raczyła wziąć pani naczelnikowa.

KUKUŁKOWA: Jezus Maria... I do czego to doszło... Żeby dla przyodziania własnej rodziny nie można było kupić kawałka materiału!

KABASIŃSKI: Śmiem przypomnieć, że w sztuce było trzydzieści pięć metrów.

LILIANNA: Oj, mamuńciu... Przecież mamuńcia powiedziała, że szkoda dla mnie na pelisę, bo można na tym dobrze zarobić. Jak mamuńcia prędko zapomina, co powie.

RAJSKA: Nie pojmuję, jak można w takich ilościach. Osobiście starałam się zawsze jak najmniej i wyłącznie dla siebie.

KABASIŃSKI (do Rajskiej): Co dotyczy pani naczelnikowej, to obywatel przewodniczący raczył się zainteresować dwiema sztukami płótna oraz... (z widocznym zmieszaniem) jakąś nadmierną... śmiem powtórzyć... ilością produktów kartkowych.

RAJSKA (zmieszana): To jakieś nieporozumienie... nie przypominam sobie...

KUKUŁKOWA (słodko): Z chęcią pani przypomnę, pani Małgosiu. Co do płótna dokładnie pamiętam, bo dwukrotnie mnie pani uprzedziła i za drugim razem byłam zmuszona wziąć gabardynę.

LUDWIK: A co na to pan Kruczek?

KABASIŃSKI: Śmiem oznajmić, że obywatelowi Kruczkowi trudno będzie w tej sprawie zająć stanowisko, ponieważ został dziś przytrzymany.

Niepokój obecnych przechodzi w panikę.

KUKUŁKOWA: Jezus Maria, czy to możliwe, żeby wszyscy kradli?! Powiedźcie sami... Przecież to po prostu oszczerstwa.

RAJSKI: Nie mogę pojąć, w jakim celu moja żona miałaby w takiej ilości brać tego...

KUKUŁKOWA: Tego żaden uczciwy człowiek nie zrozumie. Po prostu...

LUDWIK (kończy): Wsypa. Osobiście chętnie splukałbym te drobne przewinienia w mineralnej wodzie. Stwierdzam, że i ja również zaczynam odczuwać niepokój z powodu dorożki. Koń nogę zwichnął czy co...

RAJSKI: Państwo wybaczą, ale wydaje mi się, że zostałem zamieszany w sprawy...

RAJSKA (przerywa): Niech ci się nie nie zdaje. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy się wzajemnie zaczęli posądzać. Co za ludzie!

KABASIŃSKI: Pragnę jeszcze zaznaczyć, że co do udziału mojej osoby w sprawie wyjazdu pana naczelnika...

RĄCZKIEWICZ (przerywa): Koniec świata, słowo honoru.

KABASIŃSKI (kontynuuje): ...nie mogę ponosić odpowiedzialności za zajęte przez siebie stanowisko ze względu...

KUKUŁKA (przerywa): Nie obchodzi mnie pańska osoba i pańskie stanowisko.

KABASIŃSKI: Śmiem przypomnieć...

KUKUŁKA: Czy naprawdę nie rozumie pan, panie Kabasiński, że sytuacja wymaga skupienia i solidarności? Zawsze uważałem pana za dzielnego pracownika, a tacy nie uciekają z posterunku w chwili niebezpieczeństwa. (po chwili) A propos... Wczoraj właśnie podpisałem wniosek na awans dla pana.

KABASIŃSKI: Pozwolę sobie złożyć podziękowanie panu naczelnikowi.

KABASIŃSKA: Byleby nie wyszła z tego jakaś chryja.

RAJSKI: Nie pojmuję zdenerwowania kolegów. Przecież wszyscy państwo utrzymywali, że powinienem wyjechać, więc co się stało...

RAJSKA: Jesteś na urlopie, to znaczy, że cię nie ma i nic cię to wszystko nie obchodzi. (po chwili) Może by złapać jaką taksówkę.

KUKUŁKA: Nie wydaje mi się, żeby w takiej sytuacji wyjazd państwa był wskazany.

RĄCZKIEWICZ: Jestem odmiennego zdania. Pozostanie chorego na miejscu nie przyniesie pożytku ani jemu, ani nam.

KUKUŁKA: Pańskie rozumowanie jest niepoważne. Pacjenta można sprowadzić w ciągu dwunastu godzin. Tą drogą nie uniknie pan kompromitacji.

RAĆZKIEWICZ: Ściślej mówiąc: nie unikniemy.

KUKUŁKA: Polegałem na pańskim orzeczeniu, doktorze...

RAĆZKIEWICZ: Nie będę się z panem spierał. Wydaje mi się jednak, że w razie potrzeby będzie można w Krynicy uzyskać zaświadczenie lekarskie, uzasadniające niemożność wyjazdu.

RAJSKA: Pan doktor ma rację. Im prędzej wyjeżdżamy, tym lepiej.

RAJSKI: Państwo wybaczą, ale ja... nie mogę dłużej milczeć. Zostałem oszukany, nieświadomie wciągnięty... Ja żądam... żądam natychmiastowych wyjaśnień.

RAJSKA: Jeszcze tego brakowało, żeby tu przewód sądowy urządzać. Ładnie odpłacasz się za troskę i życzliwość, jaką ci okazano.

KUKUŁKOWA: Najlepiej byłoby, gdybyśmy tak wszyscy mogli wyjechać. Strasznie jest żyć wśród tych strasznych ludzi.

KABASIŃSKI: Śmiem zaznaczyć, że byłoby to niemożliwe...

KUKUŁKOWA (przerywa): Nie myślę o Krynicy. Gdzieś znacznie dalej, gdzie panuje prawdziwa demokracja.

LUDWIK (przy oknie, woła z błazeńskim patosem): Po trzykroć cię wzywam, zaklinam, błagam, zjaw się, upragniona, utęskniona dorożko, dorożko... dorożko...

Słychać turkot dorożki, po chwili dzwonek w przedpokoju. Nastrój nagłej ulgi i gorączkowego pośpiechu. Mężczyźni chwytają za walizy, toboły.

KUKUŁKOWA: Z pana magistra to prawdziwy czarodziej. (patrzac na trudzących się panów) A gdzie ta wasza Adela?

RAJSKA: Specjalnie zachorowała... w takiej chwili. (wychodzi do przedpokoju, po chwili wraca z T e r e s ą).

TERESA (ogarnia wzrokiem obecnych, zaskoczonych jej widokiem): Co za malownicza scena! Jak

w amerykańskim filmie, w poczekalni dworcowej pierwszej klasy. Ach, więc to mój biedny papcio wyrusza w podróż w tak czcigodnym orszaku.

RAJSKI (*uradowany, wzruszony*): Tak, to ja... z mamą i z wujkiem. Bardzo dobrze, żeś przyjechała, bo widzisz...

TERESA: Jakże się papcio czuje? Świetnie papcio wygląda, zupełnie normalnie. I co papciowi właściwie dolega?

RAJSKI: Nic... sam nie wiem. W tym właśnie sęk, że zupełnie normalnie... po prostu wstyd powiedzieć.

RAJSKA: Moja kochana, nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia i rozmówki. Szkoda, żeś tak późno raczyła zawitać do domu, wiedząc o tym, że ojciec jest chory i dziś wyjeżdża. Państwo pozwolą z bagażami.

TERESA: Piechotą nie zdążycie, szkoda trudu. A wszystkie dorożki obwożą dziś delegacje złotowe, które przejazdem zwiedzają nasze miasto.

RAJSKA: Przed chwilą stała przed domem dorożka, przecież nie mamy halucynacji. Spójrz no, Ludwiczku.

LUDWIK: Była i nie ma... Znikła jak sen jaki złoty...

TERESA: Po prostu przyjechałam dorożką.

RAJSKI: Bardzo dobrze, Teresko, żeś przyjechała i że pojechała.

RAJSKA: Nie ma powodu do radości.

TERESA: Nie rozumiem. Zachowuje się mama jak pogotowie, jak gdyby każda chwila decydowała o życiu.

RAJSKA: Bo każda chwila istotnie decyduje.

TERESA (*do Rączkiewicza*): A pan, panie doktorze, jak ocenia stan zdrowia mego ojca?

RĄCZKIEWICZ: Negatywnie, wedle życzenia pani naczelnikowej. (*Rajska gromi go wzrokiem*) To znaczy...

TERESA: Czy grozi jakieś niebezpieczeństwo?

RĄCZKIEWICZ (*dwuznacznie*): O tak, sytuacja jest, można powiedzieć, groźna.

TERESA: A mama i wujaszek, czy jadą też na podstawie skierowania lekarskiego?

RAJSKA: Słyszysz przecież, że ojciec nie może jechać sam. Skończyłabyś już z tymi nieprzyzwoitymi pytaniami.

TERESA: Przepraszam mamusię. Szczerze was żałuję i chciałabym dopomóc.

RAJSKA: Co począć, kochanie. Cieszę się, że nam współczujesz. Pomódl się, moje dziecko, za zdrowie ojca, to czasem pomaga.

TERESA (*niby to naiwnie, uradowana nagłą myślą*): A jeśli mamusi zaproponuję zastępstwo? Pojadę z papcią, a mama z wujkiem mogą sobie w domu odpocząć albo wybrać się gdziekolwiek.

RAJSKI (*uradowany*): Bardzo dobrze, Teresko, pojedziemy razem.

RAJSKA (*wściekła*): Nic z tego, moi drodzy. Niepotrzebnie wprowadzasz zamieszanie. Sama widzisz, w jakiej znajdujemy się sytuacji.

TERESA: Widzę, rzeczywiście, a raczej domyślałam się, że zależy mamie na tej Krynicy.

RAJSKA (*gwałtownie*): Dość już tych kpin. Z ojcem powinna jechać osoba odpowiedzialna, a ty... (*usiłuje zapanować nad sobą*) Miałas pojechać na praktykę albo do ciotki. Dlaczego tak nagle zmieniłaś plany?

TERESA: Z tych samych powodów, dla których to mamę w tej chwili denerwuje.

RAJSKA: Więc posadziłaś własnych rodziców... I poszłaś z tym dokąd? Gdzie byłaś po przyjeździe?

TERESA: W Komitecie Powiatowym. Składaliśmy relację ze zlotu. Dlaczego to mamę niepokoi?

RAJSKA (*z ulgą*): Boże! Co za czasy... własnym dzieciom nie można ufać.

RAJSKI: Teresko, posłuchaj... Wmówili we mnie, nie wierzyłem. Podejrzewałem, ale bałem się... Wszyscy przeciwko mnie jednemu. I ten doktor... nie miałem

prawa nie wierzyć lekarzowi. I ona, matka... Co teraz będzie, Teresko, powiedz, co będzie?...

Turkot dorożki. Znów wszyscy chwytają walizki, tobołki, rzucają się do drzwi. Głosy: Nareszcie! W samą porę!

KUKUŁKOWA: Z pana magistra to prawdziwy Archimedes. Żeby tak wyliczyć!

LUDWIK: Ściśle planowo, zdążymy ulokować się i wypić czarną kawę.

Wpada Banaś, widać bardzo się śpieszy. Towarzystwo cofa się zaskoczone, spłoszone, przerażone.

BANAŚ (*nie dostrzegł Rajskiego*): Do naczelnika Rajskiego. Nie wyjechał chyba jeszcze?

RAJSKA: Pan wybaczy, ale mąż jest na urlopie i właśnie czekaliśmy na dorożkę. (*do obecnych*) Państwo pozwolą z bagażami... (*zmierza do drzwi*)

BANAŚ: Chwileczkę... i ja również nie mam ani chwili do stracenia. Poproszę państwa o skierowania. (*Ludwik wyjmuje z portfela żądane dokumenty i szarmancko je podaje. Banaś przegląda*) Bilety kolejowe przydadzą się. (*z ironią*) I sypialne, coraz lepiej...

KUKUŁKA: To jakieś nieporozumienie. Jakim prawem pan... Naczelnik Rajski jedzie na mocy orzeczenia komisji. Dokumenty ma w porządku, zresztą... nie pan winien o tym decydować.

BANAŚ: Chwileczka cierpliwości. Zaraz się państwo dowiedzą. Czy jest tu telefon?

LUDWIK (*wskazuje*): Uprzejmie proszę, czynny.

BANAŚ (*podchodzi szybko do telefonu, nakręca numer*): Tu Banaś. Wszystko w porządku. Zdążyłem w porę. Niech towarzysze Kubala i Pietrzyk będą za dwadzieścia minut na dworcu. Dostaną skierowania, bilety kolejowe i... sypialne.

LUDWIK: Drugiej klasy w wagonie międzynarodowym.

BANAŚ (przez telefon, śmieje się): Drugiej klasy, miękkie, z pościelą. Tak. (kładzie słuchawkę)

RĄCZKIEWICZ: To niesłychane. Pan narusza praworządność. Pan za to odpowie.

KUKUŁKA: Może nam pan wreszcie wytłumaczy, co to wszystko ma znaczyć.

KABASIŃSKI: Pozwolę sobie usprawiedliwić swoją obecność w tej sytuacji... Dwadzieścia dwa lata nagannej służby...

KABASIŃSKA (przerywa): Zostaliśmy przemocą... zaproszeni. Po prostu z ulicy. Mój mąż nie ma z tym nic wspólnego.

LILIANNA: A tak państwo tu biegli, jak mamuńcia do pana Kruczka, kiedy co nowego przywiozą do spółdzielni.

RAJSKI: Wiedziałem... przeczuwałem... ostrzegałem, nie chcieli słuchać.

BANAŚ (do Rajskiego): Jutro zostanie pan zbadany komisyjnie i w zależności od wyniku zarezerwowaliśmy jedno miejsce.

RĄCZKIEWICZ (nieprzytomny ze strachu): Jakim prawem... Kto ośmielił się kwestionować moją diagnozę...

BANAŚ: Znajdą się jeszcze u nas uczciwi lekarze, którzy nie ulęką się panów naczelników i ich popleczników.

KUKUŁKA: A ja protestuję przeciwko... formie, i w ogóle...

BANAŚ: Za formę przepraszam w imieniu komisji, powołanej przed godziną przez przewodniczącego, od której tu przyszedłem. Pośpiech zmusił mnie do tych odwiedzin. Za to pozostałe wyjaśnienia otrzymają państwo zupełnie formalnie i oficjalnie. (wybiega)

RAJSKA: Wszystko stracone.

LUDWIK: I bilety sypialne.

KABASIŃSKA: Drugiej klasy.

Wchodzi Szczypiorska, za nią Banaś.

SZCZYPIORSKA (teczka z aktami pod pachą, wyjmuje z teczki kartkę, czyta): Na podstawie orzeczenia komisji powołanej z polecenia przewodniczącego Dąbka w celu zbadania dokonanego podziału skierowań na bezpłatne leczenie sanatoryjne wstrzymuje się wyjazd do Krynicy naczelnika Wydziału Zdrowia PRN ob. Zbigniewa Rajskiego oraz mających mu towarzyszyć członków rodziny.

BANAŚ: O dziesięć minut za późno. Ludzie biegają jednak szybciej, niż fruwać papierki. Powiedzcie przewodniczącemu, że tym razem zdążyliśmy w porę.

Banaś wybiega. Wszyscy stoją oszołomieni.

K U R T Y N A

